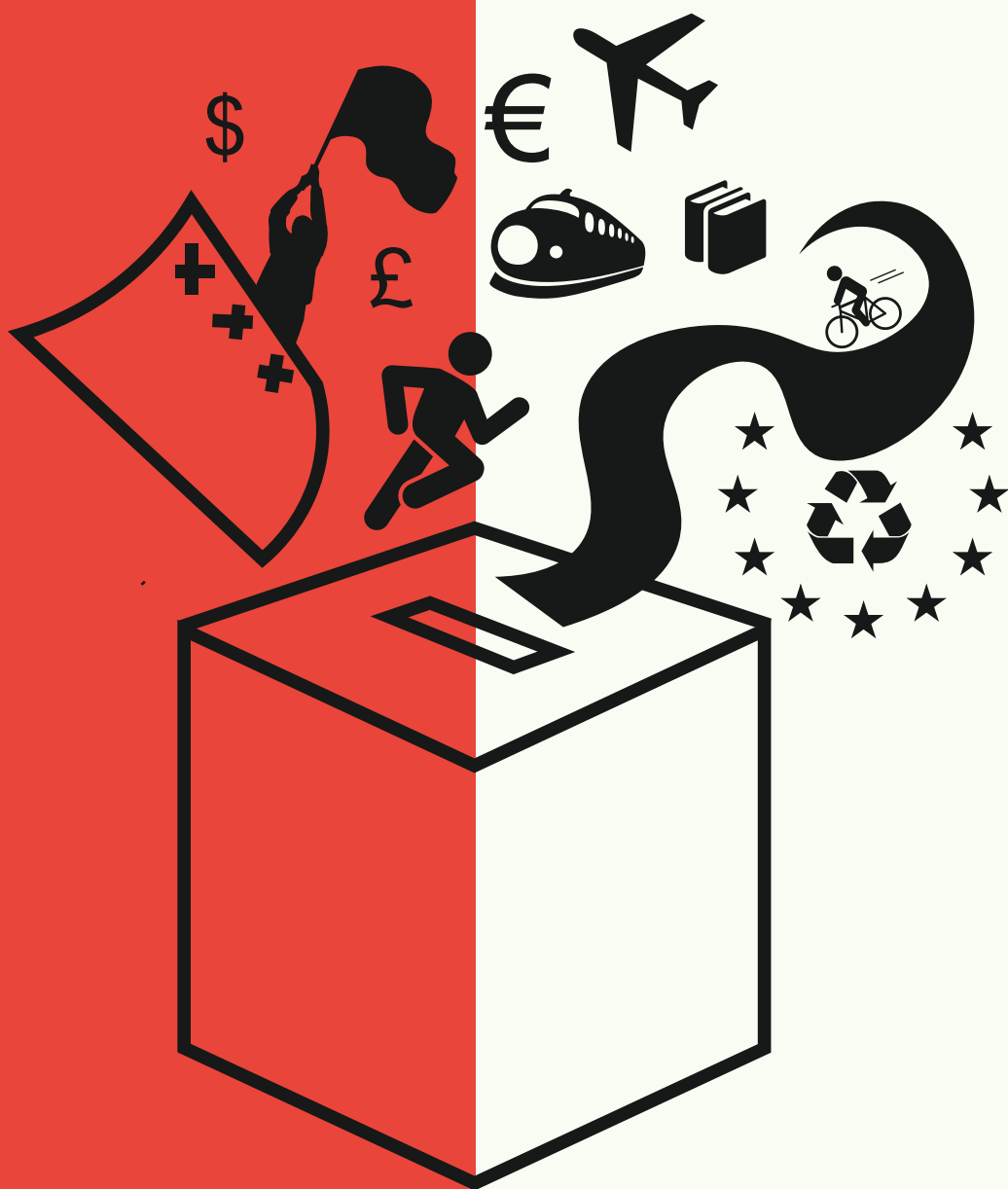


Równość

Stowarzyszenie
im. Tadeusza Regera

kwartalnik
nr 2/2023
ISSN 2081-4518

Co wybieramy?



- 2 **Czym zastąpić demokrację?** *Leszek Karlik*
- 6 **Demokracja w Kościele. Paradoks czy... tradycja?** *Piotr Uciński*
- 9 **Chodźmy z duchem czasu** *Bartosz Klimas*
- 13 **Nasze miasto, nasza bardzo wielka wina** *Filip Górski*
- 18 **Nie marnuj. Czy Polska nadąża za naszymi wyborami konsumenckimi?** *Magdalena Madzia*
- 22 **Codzienne wybory – nadzieja w kooperatywach** *Maciej Chrapkiewicz*
- 24 **Jak nie odnieść sukcesu w biznesie** *Paweł Miech*
- 27 **Wspólna lista - czyli kto nie z Tuskiem, ten przeciw niemu** *Kacper Korgul*
- 31 **Ludzie, wartości, wybory, ruch** *Dariusz Zalega*
- 35 **Na wirtualnym polu walki, czyli rosyjska wojna informacyjna** *Adrianna Zipper*
- 40 **Wyberzmy się po książki** *Agnieszka Lamek-Kochanowska*
- 43 **Wybieram wybory** *Barbara Słania*

Mamy rok wyborczy i lada moment rozpocznie się kampania, która nieoficjalnie toczy się już jakiś czas. Z wielu stron będziemy przekonywani do oddania głosu, do dokonania wyboru. Udział w głosowaniu to nasz obywatelski obowiązek, niektórzy mówią nawet o święcie demokracji. Jednak czy wiemy, co tak naprawdę wybieramy?

Sporo mówi się o niedoskonałościach naszego ustroju, dlatego Leszek Karlik zadaje pytanie: *Czym zastąpić demokrację?* Obecnie, kiedy jest ona przedmiotem dyskusji na różnych płaszczyznach, warto zastanowić się nad tym, czy nasze decyzje są zgodne z duchem tej idei. Czy umiemy docenić wartość demokratycznego procesu wyborczego i podjąć świadome decyzje? I wreszcie – co zrobić, aby demokrację wzmocnić?

O demokracji, a właściwie jej braku we współczesnym Kościele pisze Piotr Uciński. Sprawdzamy więc, czy demokracja funkcjonowała w chrześcijaństwie.

W numerze nie mogło zabraknąć polityki krajowej, dlatego debiutujący na naszych łamach Kacper Korgul analizuje pomysł wspólnej listy opozycji. Temat jednych rozgrzewa do czerwoności, dla innych to odgrzewany kotlet i przepis na porażkę. Dariusz Zalega przytacza historię ruchu robotniczego wychodzącego stopniowo ze skostniałego porządku, który z pewnością nie był ani słuszny, ani sprawiedliwy. Adrianna Zipper pisze o współczesnym charakterze walki politycznej, jaką jest dezinformacja, która może odegrać ważną rolę podczas najbliższych wyborów.

Życie składa się z ciągłego podejmowania decyzji. Czasami są one łatwe i oczywiste, innym razem wymagają od nas głębszej refleksji i analizy. O wyborach konsumenckich piszemy nie tylko po to, aby nakreślić problemy, z którymi musimy się zmierzyć, ale także by wskazać możliwe rozwiązania. Maciej Chrapkiewicz pisze, dlaczego wybiera kooperatywy, a Magdalena Madzia analizuje, czy rozwiązania systemowe odpowiadają na palącą potrzebę ochrony środowiska, której świadomość ma coraz szersze grono osób. Bartosz Klimas rzuca światło na problem samochodziarzy i próbuje odpowiedzieć na pytanie, dla kogo tak właściwie są miasta. Również o miastach przeczytacie u Filipa Górskiego, który wywraca stolik i stawia tezę, że nie wszystkie decyzje, jakie podejmujemy, wynikają z naszej wolnej woli. Wbrew temu, co niektórzy próbują nam wmówić, nie na wszystko mamy tak duży wpływ, jak byśmy chcieli mieć. Paweł Miech z troską sprowadza na ziemię tych, którzy sądzą, że można założyć świetnie prosperujący biznes, nie mając odpowiedniego kapitału. Agnieszka Lamek-Kochanowska analizuje, co dają nam książki i o co chodzi z tym całym zamieszaniem wokół badań nad stanem czytelnictwa w Polsce.

Na koniec Barbara Słania w krótkim tekście pisze, dlaczego wybiera wybory, równocześnie obalając argumenty osób, które nie głosują. Każdy i każda z nas ma moc wyboru, a podjęte decyzje kształtują nasz indywidualny i zbiorowy los.

Zapraszam do lektury!
Katarzyna Gasparska

Leszek Karlik

Czym zastąpić demokrację?

W 3. dekadzie XXI w. liczba osób żyjących w demokracjach maleje. Częściowo wynika to z kontrofensywy autorytaryzmu, ale tej kontrofensywie żyzną glebę zapewniła światowa dominacja neoliberalizmu. Nawet najbardziej demokratyczne państwa mają mocno ograniczony wpływ na stosunki władzy wynikające z posiadania kapitału, który w odróżnieniu od uchodźców może swobodnie przekraczać granice, oraz na relacje wewnątrz firm.

Żyjąc w państwie demokratycznym i pracując na etacie w firmie, każdego dnia roboczego na 8 godzin przenosimy się do świata feudalnego, nieco utemperowanego przez ustalone demokratycznie prawa, ale nadal wybitnie niedemokratycznego.

Jak możemy zaobserwować na przykładzie Węgier, Turcji czy Polski, rządzący o tendencjach autorytarnych często dochodzą do władzy metodą demokratycznych wyborów, aby następnie tę demokrację okrajać, plasterek po plasterku. Aby cofnąć postępy autorytaryzmów, musimy wzmocnić demokrację albo nawet zastąpić ją lub uzupełnić nowymi formami rządów.

Co właściwie oznacza słowo „demokracja”?

Główny bohater serii gier *God of War*, spartański wojownik-półbóg będący ucieleśnieniem prze-

mocy i siły ma na imię Kratos. W mitologii greckiej istniał też uosabiający siłę bóg o imieniu Kratos, Cratus czy Cratos, brat lepiej znanej Nike (personifikacji zwycięstwa). Demokracja to ustrój, w którym lud (*dēmos*) ma władzę/siłę/przemoc (*krátos*).

W starożytnej Grecji prawo głosu mieli mężczyźni, a w razie zagrożenia miasta ci sami mężczyźni stawali z bronią do obrony swojego *polis*. Głosowanie większościowe to historycznie mechanizm wywodzący się właśnie ze zmilitaryzowanych społeczeństw, takich jak starożytna Grecja czy republikański Rzym: jeżeli mamy 100 ciężko uzbrojonych żołnierzy, którzy mają rozbieżne poglądy na temat działania, jakie mają kolektywnie podjąć, to ustalenie, że 70 z nich chce jednego, a 30 drugiego, pozwala wybrać to, co popularniejsze, bez konieczności uciekania się do przemocy.

W dzisiejszej polityce pojęcie „demokracja” oznacza demokrację przedstawicielską, w której lud wybiera polityków zajmujących się pełnoetatowo głosowaniem nad rozlicznymi problemami stojącymi przed społeczeństwem. Demokracja bezpośrednia, w której obywatele głosują nad przyjęciem lub odrzuceniem prawa, stanowi najwyższy element uzupełniający i nie jest specjalnie powszechna z uwagi na to, że praca polityczna jest bardzo czasochłonna, a już samo ustalenie kształtu proponowanej ustawy czy innej decyzji, która będzie głosowana, wymaga długotrwałej pracy i uwzględniania wpływu na różne grupy społeczne.

Dlatego też demokracja przedstawicielska jest zdecydowanie praktyczniejsza od demo-

kracji bezpośredniej. Należy jednak pamiętać o jej znaczących słabościach: tworzeniu oderwanej od rzeczywistości większości głosujących klasy zawodowych polityków, których podstawową kompetencją jest wygrywanie wyborów, a nie reprezentowanie obywateli, oraz znaczącym ograniczeniu wpływu wyborców na decyzje swoich „przedstawicieli” już po zagłosowaniu.

Istnieje koncepcja połączenia demokracji przedstawicielskiej z reprezentatywną nazywaną płynną demokracją lub demokracją delegowaną. Założeniem płynnej demokracji jest możliwość przekazania swojego prawa do głosowania dowolnej osobie, która z kolei może ten głos przekazać jeszcze komuś innemu, ale też wycofania się z tej decyzji w dowolnym momencie, jeżeli okaże się, że nasz przedstawiciel postępuje nie po naszej myśli. Ten pomysł z pewnością spodobałby się wyborcom polityków, którzy zmienili barwy klubowe już w trakcie trwania kadencji Sejmu, często o 180°, ma on jednak podstawową wadę typową dla demokracji przedstawicielskiej z XVIII czy XIX w.: brak tajności wyborów. To oznacza, że właściciele dużych zakładów pracy będą mogli naciskać ekonomicznie na swoich pracowników, aby przekazywali oni swoje głosy nie osobom, które reprezentują ich interesy, tylko tym reprezentującym interesy tegoż właściciela.

Sortycja – politycy z losowania

Podstawą ateńskiej demokracji był wybór władz przez losowanie, nazywany również sortycją. W starożytnych Atenach specjalne urządzenie (*klerote-*

rión) pozwalało na wylosowanie urzędników państwowych spośród zgłaszających się na dane stanowiska obywateli (oczywiście wyłącznie mężczyzn). Cytując *Politykę* Arystotelesa: *Za cechę demokratyczną np. uchodzi, że się urzędy obsadza przez losowanie, za oligarchiczną zaś, gdy się to dzieje przez wybór*¹. Na dany urząd można było zostać wylosowanym tylko raz, na jeden rok, potem już nie wolno było ponownie się zgłaszać na to samo stanowisko.

Sortycji używano też w mniejszym stopniu w średniowiecznej Lombardii oraz jako uzupełnienia systemu wyborów w Wenecji i we Florencji. Obecnie jest stosowana do ustalenia składu ław przysięgłych w anglosaskich systemach prawnych oraz do wyboru paneli obywatelskich, służących jako ciała doradcze politykom.

Z sortycji korzysta się także w różnych organizacjach pozarządowych. Przykładowo Internet Engineering Task Force, międzynarodowe stowarzyszenie odpowiedzialne za wyznaczanie standardów, o które opiera się działanie Internetu, każdego roku losuje 10 ochotników (spośród ok. 100 zgłoszeń) do Komitetu Nominacyjnego, a ten wyznacza następnie osoby pełniące funkcje w poszczególnych organach IETF. Do tego losowania IETF utworzyło specjalny standard RFC 3797², który pozwala na przejrzyste i możliwe do zweryfikowania ustalenie, którzy z ochotników zostaną wylosowani na podstawie kilku wybranych wcześniej źródeł losowości, takich jak publiczne loterie (np. w 2021 r. źródłami losowości

¹ Arystoteles, *Polityka*, tłum. L. Piotrowicz, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006.

² <https://www.rfc-editor.org/rfc/rfc3797> [dostęp: 4.06.2023].

Uzupełnienie organu obsadzanego w drodze wyborów (takiego jak Sejm) dodatkowymi postaciami losowanymi z populacji mogłoby zwiększyć wydajność jego pracy

były wyniki loterii EuroMillions, amerykańskiej PowerBall, australijskiej TattsLotto i japońskiej Lotto 7). Z innych przykładów: amerykańska organizacja Democracy Without Elections, promująca wykorzystanie w polityce sortycji zamiast wyborów, losuje skład swojej rady nadzorczej, a w 2014 r. organizacja Democracy in Practice zorganizowała eksperyment, w którym wybory samorządu uczniowskiego w 2 szkołach w Boliwii (podstawowej i liceum wieczorowym) zostały zastąpione przez losowanie.

Panele obywatelskie

Tak naprawdę jedynym szerzej znanym i stosowanym przykładem praktycznego wykorzystania sortycji w polityce są panele obywatelskie – ciała doradcze zbierające się do przedyskutowania jednego określonego problemu.

W Polsce pierwsze panele obywatelskie odbyły się w Gdań-

sku (w 2014 r. deliberowano nad problemem realizacji budżetów obywatelskich, w 2016 nad przygotowaniem miasta na ulewne deszcze, w 2017 nad poprawą jakości powietrza, w 2018 nad aktywnością obywatelską) i w Lublinie w 2018 r. (ten również dotyczył poprawy jakości powietrza). Później panele zorganizowano jeszcze we Wrocławiu w 2020 r. (kwestie transportowe), w Łodzi (w 2020 r. zieleń w mieście, w 2021 redukcja emisji gazów cieplarnianych), Warszawie (w 2020 r. klimat i OZE), Poznaniu (w 2021 r. zieleń i lasy miejskie oraz odejście od spalania węgla) i Krakowie (w 2021 r. klimat, w 2023 r. transport).

Potencjalną zaletą paneli obywatelskich jest możliwość dużo dogłębszej dyskusji nad problemem niż w przypadku referendum (paneliści wysłuchują ekspertów zaproszonych przez organizatorów panelu, ale mają też możliwość zapraszania własnych). Badanie poziomu debaty

nad aborcją przez irlandzki panel obywatelski oraz przez komisję parlamentarną ds. aborcji³ pokazało, że panel obywatelski składający się z 99 losowo wybranych obywateli i obywaterek Irlandii podczas dyskusji wykazał głębsze zrozumienie problemów związanych z aborcją od komisji parlamentarnej, której przekazano stworzony przez niego raport (komisja składała się z 10 kobiet i 10 mężczyzn oraz przewodniczącej). Końcowym efektem tych dyskusji było przegłosowanie w referendum likwidacji 8. poprawki do Konstytucji Irlandii: 66% głosujących było za przywróceniem irlandzkim kobietom prawa do aborcji, a 34% przeciwno, co stanowiło wynik dość podobny do głosowania przez panel obywatelski (gdzie 64% było za przywróceniem prawa do aborcji).

Niestety rekomendacje paneli obywatelskich mogą zostać

³ J. Suiter i in., *Measuring Epistemic Deliberation on Polarized Issues: The Case of Abortion Provision in Ireland*, <https://journals.sagepub.com/doi/10.1177/14789299211020909> [dostęp: 4.06.2023].

całkowicie zignorowane przez władzę wykonawczą i ustawodawczą. Możemy to zaobserwować chociażby na przykładzie polskich paneli obywatelskich: panele, które odbyły w Gdańsku w latach 2016–2018, przedstawiły łącznie 73 rekomendacje, które uzyskały poparcie ponad 80% panelistów i panelistek. Na stronie gdańskiego urzędu miejskiego można znaleźć 3 rekomendacje, które zostały do tej pory wdrożone⁴, i od 2017 r. nie była ona już aktualizowana (choć zrealizowano więcej zaleceń, np. z 9 zaleceń panelu dotyczącego czystego powietrza w pełni zastosowano 3, pozostałe zostały wprowadzone najwyżej częściowo lub się zdezaktualizowały⁵).

Stąd też pojawiające się coraz częściej postulaty utworzenia organów władzy ustawodawczej opartych o zasady demarchiczne, które miałyby albo zastąpić obecne organy wybierane drogą wyborów, albo też je uzupełniać.

Demarchia – rządy ludu

Tak jak anarchia to brak (*an*) rządzących (*archos*), a monarchia to rządy jednej (*mono*) osoby, tak demarchia oznacza rządy ludu, ale zorganizowane w inny sposób niż demokracja. Obecnie terminu „demarchia” używa się do opisu postulatów wprowadzenia organów ustawodawczych obsadzanych losowo: drogą sortycji albo lottokracji.

Sortycja – jak w starożytnych Atenach czy obecnie w panelach obywatelskich – oznaczałaby,

⁴ <https://www.gdansk.pl/panel-obywatelski/realizacja-rekomendacji.a.2945> [dostęp: 4.06.2023].

⁵ M. Sandecki, *Władze Gdańska słabo zrealizowały rekomendacje panelu obywatelskiego w sprawie jakości powietrza*, <https://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/7,35612,25581776,wladze-gdanska-slabo-zrealizowaly-rekomendacje-panelu-obywatelskiego.html> [dostęp: 4.06.2023].

że do obsadzenia konkretnych stanowisk losowalibyśmy osoby spośród chętnych. Natomiast założeniem lottokracji jest, że do sprawowania władzy najlepiej nadają się osoby, które tej władzy nie chcą, powinniśmy więc losować z całej populacji, jak w przypadku anglosaskich ławach przysięgłych, gdzie *jury duty* jest traktowane zazwyczaj jako uciążliwy i problematyczny obowiązek.

Istnieje badanie sugerujące, że uzupełnienie organu obsadzonego w drodze wyborów (takiego jak Sejm) dodatkowymi posłami losowanymi z populacji mogłoby zwiększyć wydajność jego pracy⁶. Prosty rozwiązaniem zwiększającym reprezentatywność władzy bez likwidacji wyborów byłoby zatem obsadzenie wylosowanymi reprezentantami społeczeństwa takiego procentu składu Sejmu, jakiego brakuje do 100% frekwencji – przy wybo-

go, podobną do proponowanej w Danii, Kanadzie, we Francji (przez Jean-Luca Mélenchona w 2017 r.) czy w Wielkiej Brytanii, gdzie pojawiły się głosy, aby zastąpić Izbę Lordów (w której zasiadają biskupi, dziedziczni arystokraci oraz osoby powołane przez monarchę na wniosek premiera) Izbą Ludu, składającą się z osób wylosowanych ze społeczeństwa.

Senat Obywatelski

Zachowanie dwuizbowego parlamentu, ale zastąpienie obecnego Senatu wybieranego w jednomandatowych okręgach wyborczych Senatem losowanym spośród społeczeństwa wydaje się najprostszą metodą na zmuszenie polityków do uwzględnienia opinii publicznej już po wyborach.

Obecny Senat w Polsce jest takim kwiatkiem do kozucha:

Głosowanie większościowe to historycznie mechanizm wywodzący się ze zmilitaryzowanych społeczeństw

racz, w których bierze udział 40% uprawnionych, mielibyśmy 60% posłów z losowania, przy wyborach, w których bierze udział 80% uprawnionych, tylko 20%.

Jednak ponieważ i tak jakiegokolwiek próby wprowadzenia sortycji do zasad wyboru władz państwowych wymagałyby zmiany konstytucji, moglibyśmy postąpić inaczej i utworzyć instytucję Senatu Obywatelskie-

wybiramy do niego polityków z tych samych partii, które są obecne w Sejmie, a JOW-y powodują, że zasiadają w nim głównie przedstawiciele 2 największych partii. Nawet sytuacja, w której opozycja ma większość w Senacie, nie daje jej realnego wpływu na proces legislacyjny, ponieważ senackie weto lub poprawki Sejm odrzuca bezwzględnie większością połowy posłów, w odróżnieniu od weta prezydenckiego wymagającego większości kwalifikowanej ⅔ przy obecności co najmniej połowy posłów.

⁶ A. Pluchino i in., *Accidental Politicians: How Randomly Selected Legislators Can Improve Parliament Efficiency*, <https://arxiv.org/abs/1103.1224> [dostęp: 4.06.2023].



Il.: Julia Klimkiewicz

Wprowadzenie Senatu Obywatelskiego, losowanego spośród obywateli na półroczne czy roczne kadencje, umożliwiłoby zastosowanie innego mechanizmu weta: do odrzucenia weta Senatu Obywatelskiego moglibyśmy wymagać takiej większości w Sejmie, jaką to weto zostało przegłosowane. To by oznaczało, że legislacja, która nie podoba się 90% obywateli wylosowanych do pracy w Senacie, musiałaby zostać przegłosowana ponownie przez 90% posłów Sejmu, aby partie polityczne mogły wymusić na społeczeństwie jakąś ekstremalnie niepopularną zmianę.

Ponieważ losowanie spośród chętnych (lub spośród wszystkich osób z biernym prawem wyborczym w przypadku lottokracji) jest dużo prostsze do przeprowadzenia niż wybory i nie wymaga kampanii wyborczych, może być dużo częstsze. Dlatego Senat Obywatelski mógłby mieć wymianianą połowę składu co rok, pół roku czy nawet 3 miesiące (w zależności od tego, jak krótkie chcemy mieć w nim kadencje), tak żeby zawsze zasiadało w nim trochę osób, które zdążyły już nabrać doświadczenia w procesach demokracji deliberacyjnej, a jednocześnie żeby odświeżać punkt widzenia i stale odzwierciedlać skład społeczeństwa.

A na koniec ciekawostka: słowo „demarchia” („rządy ludu”) jako alternatywa dla „demokracji” zostało zaproponowane przez Friedricha Hayeka, ale bez precyzyjnej definicji i nie było następnie przez niego systematycznie używane, więc się nie przyjęło. Obecnie określenie „demarchia” jest stosowane przez osoby proponujące właśnie sortycję lub lottokrację. ♦

Piotr Uciński

Demokracja w Kościele. Paradoks czy... tradycja?

W demokracji parlamentarnej co kilka lat ma miejsce tzw. święto demokracji: wybory. W Polsce te ogólnokrajowe organizowane są do Sejmu i Senatu, na urząd prezydenta oraz do Parlamentu Europejskiego i samorządu terytorialnego. Głosujemy jednak nie tylko na poziomie krajowym, ale wybieramy także np. dyrektora szkoły, samorząd uczniowski czy najlepszą piosenkę na Eurowizji. Wybory są organizowane niemalże wszędzie, a sytuacja, w której ktoś podejmuje decyzję bez pytania ludzi o zdanie, wydaje się wręcz niestosowna.

O historii demokracji i jej rozwoju powiedziano już mnóstwo. Poza ogólnikowymi frazami rzadko jednak pochylamy się nad demokracją w chrześcijaństwie. Czy kiedyś funkcjonowała, a jeśli tak – od kiedy i czy wciąż istnieje?

Błędne skojarzenia

Demokracja według *Encyklopedii PWN* oznacza dosłownie „rządy ludu” od połączenia 2 greckich słów: *dēmos* (lud) oraz *krátos* (władza)¹. Zaskoczeniem może być to, że niemalże wszystkie kraje świata oficjalnie definiu-

¹ <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/demokracja;3891717.html> [dostęp: 5.06.2023].

ją się jako demokratyczne². Człowiekowi wychowanemu w Europie czy w Stanach Zjednoczonych ten ustrój wszedł już w krew, jednakże do grona państw demokratycznych zaliczają siebie także – oczywiście niesłusznie³ – chociażby Korea Północna, Chińska Republika Ludowo-Demokratyczna, Rosja czy Białoruś.

Wygląda na to, że rządy ludu są na tyle oczywistą formą władzy, że oficjalnie istnieje ona niemal wszędzie. Od tej reguły są jednak wyjątki. Jednymi z nich są Kościoły. Państwem, w którym nie ma demokracji ani faktycznej, ani nawet formalnej, jest Watykan, czyli siedziba największego związku wyznaniowego na świecie.

Nie chodzi jednak wyłącznie o państwo. Struktura Kościoła katolickiego do dziś jest w zasadzie feudalna, przynajmniej w luźnym tego słowa znaczeniu⁴. Wszelka władza czy kontrola wewnątrz Kościoła katolickiego pochodzi wyłącznie „od góry” – papież jako naczelny suweren dysponuje władzą absolutną, którą częściowo (według swojego uznania) ceduje na biskupów, kardynałów itd. Ci z kolei na podległym sobie terenie dokonują święceń obiektów czy wyświęcają duchownych, którzy następnie decydują o sprawach związanych z własnymi placówkami i odpowiadają wyłącznie

² Wyjątki to: Watykan, Oman, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Afganistan i Brunei (stan na 22.05.2023).
³ A przynajmniej według organizacji Freedom House: <https://web.archive.org/web/20070715130416/http://www.freedomhouse.org/template.cfm?page=3688&year=2007> [dostęp: 05.06.2023].
⁴ System feudalny był bardzo długo bronią przez Kościół katolicki jako jedyny odpowiedni: <https://homework.study.com/explanation/how-did-religion-support-the-feudal-system.html> [dostęp: 5.06.2023]. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że choć słowo „feudalizm” jest stosunkowo popularne w publicystyce, jest to przede wszystkim śliski termin historiograficzny, oznaczający konkretny ustrój społeczno-polityczny. Zob. np. M. Dygo, *Czy istniał feudalizm w Europie Środkowo-Wschodniej w średniowieczu?*, [w:] M. Dygo, „Kwartalnik Historyczny” r. 140, Wydawnictwo Naukowe „Semper”, Warszawa 2013, s. 667–717.

przed swoim przełożonym. Z grona decyzyjnego wyłącza się osoby, które nie są wyświęcone, czyli stanowiące miazdzącą większość tej organizacji – jest ich ponad 1,2 mld⁵, zaś wyświęconych zaledwie niecałe 415 tys.⁶ Cokolwiek do powiedzenia ma tylko ta druga grupa.

Widać więc, że taki system z demokracją ma niewiele wspólnego. Dotyczy to nie tylko Kościoła katolickiego, lecz także wielu innych organizacji religijnych. Czy jednak zawsze tak było?

Nieoczywista historia

Czy obecna forma rządów obojętnie w chrześcijaństwie od samego początku? Historia pokazuje, że w zborach (parafiach) nie istniało jedynowładztwo, a decyzje podejmowano

⁵ *Publicati l'Annuario Pontificio 2021 e l'Annuario Statisticum Ecclesiae 2019*, <https://www.osservatoreromano.va/it/news/2021-03/quo-068/publicati-br-1-annuario-pontificio-2021-br-e-1-annuario-statisticum> [dostęp: 5.06.2023].

⁶ Dane Center for Applied Research in the Apostolate, <https://cara.georgetown.edu/faqs> [dostęp: 5.06.2023].

najprawdopodobniej wspólnie. Ojciec Kościoła zachodniego, jak czasem nazywa się Tertuliana, pisał, że w *określonych miejscach odbywają się zgromadzenia wszystkich Kościołów, na których (...) roztrząsa się poważne problemy*⁷. To krótkie i pozornie niewiele mówiące zdanie jest jednak ważnym świadectwem, zgodnie z którym na przełomie II i III w. w zachodnim chrześcijaństwie (czyli tym, z którego wyrosły katolicyzm i protestantyzm) decyzje podejmowano wspólnotowo. Oczywiście można dyskutować, kto zasiadał w takich zgromadzeniach i jak się w nich znalazł, jednak sam fakt, że decyzje zapadały w jakimś gronie, a nie były wynikiem autorytatywnego rozporządzenia jednej osoby, jak ma to miejsce dzisiaj w Kościele katolickim czy prawosławnym, jest znaczący.

Wybór liderów (czyli, mówiąc dzisiejszym językiem, proboszczów lub biskupów) też

⁷ Tertulian, *O poście przeciw psychikom* 13, 6, tłum. E. Stanula, [w:] Tertulian, *Wybór pism III*, Warszawa 2007, s. 192.

nierzadko odbywał się demokratycznie. Z działalności św. Pawła wiemy, że często w zakładanych przez niego wspólnotach on sam ustanawiał przełożonego. W tych parafiach autorytet apostołski był trudny do podważenia⁸, jednakże w innych wspólnotach takich zwierzchników wyłaniano w procedurze wyborczej⁹. Ludzie sami wybierali swoich proboszczów czy biskupów oraz (najprawdopodobniej) sami ich odwoływali.

Profesor Wipszycka-Bravo, historyczka starożytności, wskazuje na ogromną autonomię poszczególnych diecezji. Biskup był wybierany przez wiernych i odpowiadał wyłącznie przed nimi. Jakiegokolwiek „odgórne” usunięcie go było niemożliwe i zostało wprowadzone dopiero w trakcie centralizacji Kościoła, stanowiącej pokłosie wzięcia

⁸ Aczkolwiek nie oznacza to, że gdzieśgdzie do tego nie dochodziło, np. Paweł z Tarsu skarżył się w swoich listach na „fałszywych nauczycieli”, którzy „zwodzą” jego ludzi. Zob. 1 Kor, 2 Kor, Ga.

⁹ A. Żurek, *Synody wczesnochrześcijańskie* [w:] *Synody Diecezji Tarnowskiej*, t. 7, red. A. Żurek, J. Soprych, Kraków 2017, s. 32.



Il. Julia Klimkiewicz

go pod „opiekę” przez cesarza Konstantyna po roku 313¹⁰. Stopniowo, wraz z coraz większą ingerencją kolejnych cesarzy w kwestie kościelne, zmniejszał się wpływ parafii i parafian na podejmowane decyzje. Diecezje również traciły swoją niezależność na rzecz cesarzy i patriarchów.

Wygląda na to, że rządy ludu są na tyle oczywistą formą władzy, że oficjalnie istnieje ona niemal wszędzie. Od tej reguły są jednak wyjątki. Jednymi z nich są Kościoły

Centralizacja systemu przetrwała upadek władzy cesarskiej na Zachodzie – najwyraźniej biskupi, w tym biskup Rzymu, niechętnie podchodzili do myśli, że mieliby zrezygnować z przywilejów, jakie dostali. Od wieku VII niemal wszystkie starożytne wielkie patriarchaty – Antiochii, Aleksandrii i Jerozolimy – znalazły się pod panowaniem muzułmanów. Jedynym konkurentem dla autorytetu papieskiego pozostał Konstantynopol, ostatni wolny patriarchat Wschodu.

Dziela dokończył papież Grzegorz VII, który w swoich reformach osobom świeckim (przede wszystkim władcom) odebrał jakiegokolwiek prawo do decydowania o sprawach Kościoła¹¹. Było to możliwe m.in. poprzez osłabianie cesarzy, tj. głównych konkurentów papieża. Cesarz Konstantynopola rozpaczliwie walczył o przetrwanie, by 29 maja 1453 r. ostatecznie upaść pod naporem Turków. Cesarze

Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego byli coraz bardziej uwikłani albo w wewnętrzne spory polityczne, albo w rywalizację z zewnętrznymi wrogami, np. Francją. Wraz z zakończeniem schizmy zachodniej i konsolidacji władzy kościelnej w rękach biskupa Rzymu na soborze w Konstancji

władza papieża nad Kościołem zachodnim stała się niekwestionowana i niepodzielna.

Powrót do źródeł

Jak powszechnie wiadomo, nikt nie lubi się dzielić swoją władzą, a tym bardziej jej oddawać. Jak zatem doszło do tego, że istnieje dziś w chrześcijaństwie zachodnim denominacje, które rządzą się demokratycznymi regułami? Co prawda są one częścią odłamu protestantyzmu, wywodzą się jednak z tego samego pnia, co katolicyzm – z Kościoła zachodniego.

Tak jak w poszczególnych państwach, tak i w Kościele demokratyzacja życia publicznego była długim procesem, którym potrząsały gwałtowne wydarzenia. Idea, że wierni powinni sami wybierać swoich nauczycieli (a także, w razie potrzeby, ich odwoływać), w chrześcijaństwie nigdy nie zaginęła, lecz objawiała się w marginalnych środowiskach.

Bogomili – uważani dziś za heretyków – przeciwstawiali się hierarchii kościelnej i wybierali

nauczycieli spośród członków swojej grupy¹². Historia nieprawomyślnych zgromadzeń w średniowieczu pokazuje, że bardzo wiele z nich miało wspólny mianownik, którym było odrzucenie nie tylko zwierzchności papieża i biskupów, ale także sztywnej hierarchii w ogóle. Katarzy, mimo iż uznawali urząd biskupa, nie stanowili struktury *stricte* hierarchicznej¹³. Badacze są zgodni, że episkopat katarski cieszył się poważaniem swoich wiernych i z tego wynikało jego znaczenie.

Podobny schemat powtarzał się nie tylko w Kościele zachodnim. We wschodnim chrześcijaństwie oprócz wspomnianych bogomilów istniało zaskakująco wiele grup nieakceptujących skostniałych hierarchicznych układów społecznych (w tym Cerkwi), w których urząd duchownego opierał się na autentycznym autorytecie. Zaliczamy do nich chociażby strigolników¹⁴ czy duchownych chrześcijan¹⁵.

Wszystkie te zbiorowości były jednak na marginesie głównego nurtu chrześcijaństwa, zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Jednakże nie trzeba było długo czekać na to, by w Kościele zachodnim doszły do głosu marzenia o zmianie.

Marcin Luter, choć do końca życia pozostał zwolennikiem feudalizmu¹⁶, w swoich pismach podkreślał, że władza kościelna powinna być w jakiś sposób kontrolowana przez władzę

świecką, gdyż sama z siebie nie jest w stanie się uzdrowić z narosłych przez wiele lat patologii¹⁷. Teza ta wydaje się niewinna, lecz tak naprawdę była kulą śnieżną, która zapoczątkowała lawinę i przetoczyła się przez całą Europę, zmieniając ją na zawsze.

Ogromny krok ku nowoczesnej demokracji zrobił Jan Kalwin. Szczególnie interesująca w jego myśli jest kwestia rozdziału Kościoła od władzy świeckiej. Zdaniem Kalwina zarówno zwierzchnicy Kościoła, jak i urzędnicy świeccy są bezpośrednio odpowiedzialni przed Bogiem za swoje czyny, ale nie panują nad sobą nawzajem. Kościół może przypomnieć sędziemu, co mówi prawo Boże, ale nie może określić, w jaki sposób to prawo ma być stosowane w sprawach dotyczących jurysdykcji cywilnej. Władza świecka może zaś doradzać Kościołowi w sprawach dotyczących spraw cywilnych, ale nie może zmusić Kościoła do przestrzegania zasad świeckich w jego nauczaniu, kulcie lub rządzeniu. W ten sposób Kalwin bardzo jasno wyjaśnił zasadę rozdziału funkcji Kościoła od funkcji państwa: są one powiązane i wzajemnie się wspierają, ale pozostają od siebie niezależne. Oznacza to, że jeśli państwo próbuje ingerować w działanie Kościoła lub dąży do ograniczenia jego pracy duchowej, Kościół ma prawo i obowiązek nieposłuszeństwa. Oprócz tego Kalwin uważał, że forma rządów Kościoła ma być zasadniczo demokratyczna. W ten sposób formacja religijna stanowiła wzór także dla państwa. Kalwin sądził bowiem, że duchowni i inni

urzędnicy kościelni nie powinni być narzucani Kościołowi przez rząd lub niewielką grupę bogatej arystokracji, lecz mianowani przez wszystkich wiernych¹⁸.

Oczywiście żaden z wymienionych przez Kalwina pomysłów, mówiąc delikatnie, nie uzyskał aprobaty papieża, ale nie istniała już siła, która byłaby w stanie powstrzymać marzenia ludzi o ponownej możliwości decydowania o sprawach Kościoła. Choć reformacja luterkańska nie podkreślała roli demokracji, to jednak wpływy kalwinizmu szybko przeniknęły do myśli chrześcijańskiej.

Odległa historia czy przyszłość?

Obecnie niemalże wszystkie Kościoły protestanckie rządzą się demokratycznymi zasadami¹⁹: posiadają gremia decyzyjne (zazwyczaj nazywane „synodami”), do których przedstawiciele są wybierani, a nie arbitralnie mianowani. Większość protestanckich związków wyznaniowych podkreśla, że nie jest to żadna modernistyczna nowinka, ale właśnie odwołanie się do pierwotnej organizacji Kościoła sprzed epoki konstantyńskiej, kiedy relacje pomiędzy parafią a duchownymi opierały się na wzajemnym zaufaniu, a nie władzy i kontroli.

Czy ta przemiana jest możliwa także w pozostałych Kościołach? Nie wiem, ale życzę braciom i siostram w Chrystusie zarówno z Cerkwi, jak i z Kościoła katolickiego, by mogli się cieszyć swobodnymi wyborami również w swoich parafiach. ♦

Chodźmy z duchem czasu

Coraz częściej zadajemy sobie pytanie: kto właściwie mieszka w mieście: samochody czy ludzie? I coraz częściej pada odpowiedź: jednak ludzie.

Miejski samochodziarz to stworzenie szczególne – oczekuje, że dojedzie swoim autem wszędzie i zaparkuje, gdzie tylko mu wygodnie. Żaden pieszy ani rowerzysta nie stanie mu na drodze.

Samochodziarz to zatem pojęcie węższe niż kierowca, który, owszem, korzysta z samochodu, ale już dawno zrozumiał, że mieszkając w metropolii, ma też do dyspozycji komunikację miejską i ścieżki rowerowe.

To właśnie samochodziarze podnoszą larum, gdy samorządy ograniczają wjazd do centrów, powiększają strefy płatnego parkowania, wprowadzają strefy uspokojonego ruchu (Tempo 30) czy wreszcie planują strefy czystego transportu (choć podkreślmy, że te ostatnie mają na celu przede wszystkim poprawę jakości powietrza, nie zaś ograniczenie liczby samochodów). Warto docenić, że polskie miasta, zarówno duże, jak i mniejsze, podobne pomysły już wdrażają w życie.

Miasto to nie darmowy parking

Rozpoczynam od Warszawy, bo już ze względu wielkość miasta każda decyzja ratusza odbija się tu szczególnie głośnie. Ostatnio wojewoda mazowiecki,

¹⁰ E. Wipszycka, *Kościół egipski czasów tetrarchii i kościół Konstantyna. Nowe źródła – nowe hipotezy*, [w:] Z. Kalinowski, D. Próchniak (red.), *Bitwa przy mieście muwijskim. Konsolwencji*, Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 2014.

¹¹ H.E.J. Cowdrey (ed.), *The Register of Pope Gregory VII 1073-1085: An English Translation*, Oxford University Press 2002, s. 600.

¹² N. Garsoian, *Byzantine Heresy: A Reinterpretation*, *Dumbarton Oaks Papers* 1971, s. 87-113.

¹³ W.M. Johnston (ed.), *Encyclopedia of Monasticism*, Fitzroy Dearborn, Chicago-London 2000, s. 252.

¹⁴ <https://viewer.rsl.ru/ru/ru101004161763?page=70> [dostęp: 22.05.2023].

¹⁵ A.I. Kilbanow, *History of Religious Sectarianism in Russia (1860-1917)*, Pergamon Press, New York 1982.

¹⁶ B. York, *Luther, the Reformation and democracy*, <https://www.moadoph.gov.au/blog/luther-the-reformation-and-democracy/#> [dostęp: 05.06.2023].

¹⁷ Zob. *Do chrześcijańskiej szlachty narodu niemieckiego czy O niewoli babilońskiej Kościoła* autorstwa M. Lutra.

¹⁸ W. Stanford Reid, *John Calvin: One of the Fathers of Modern Democracy*, <https://christianhistoryinstitute.org/magazine/article/calvin-father-of-modern-democracy> [dostęp: 5.06.2023].

¹⁹ T.S. Shah, R.D. Woodberry, *Christianity and Democracy: The Pioneering Protestants*, <https://www.journalofdemocracy.org/articles/christianity-and-democracy-the-pioneering-protestants/> [dostęp: 5.06.2023].

który równie chętnie jak jego poprzednik torpeduje decyzje Rady m.st. Warszawy, zaskarżył decyzję o powiększeniu stołecznej Strefy Płatnego Parkowania Niestrzeżonego (SPPN). W swojej argumentacji miał się powoływać na fakty medialne, w myśl których wprowadzenie SPPN spowoduje znaczne uszczuple-

8% pojazdów wysokoemisyjnych, które jeżdżą po Warszawie, odpowiada za 40% zanieczyszczeń

nie liczby miejsc parkingowych. Przy czym – jak mówi Michał Olszewski, wiceprezydent Warszawy – wojewoda nie oczekiwał żadnych dodatkowych wyjaśnień od urzędu miasta. Zakwestionował uchwałę, co z kolei zostało zaskarżone przez władze Warszawy do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Podobnie było 2 lata temu w przypadku powiększenia strefy w 2 innych dzielnicach – wówczas urząd miasta przedstawił nowy projekt.

Stolica, wzorem kilku większych ośrodków, rozważa też wprowadzenie opłat za parkowanie w weekendy. W niektórych metropoliach obok typowych stref płatnego parkowania niestrzeżonego obowiązują bowiem także śródmiejskie strefy płatnego parkowania, ulokowane zazwyczaj, zgodnie z nazwą, na

terenie ścisłego lub zabytkowego centrum. To właśnie tam parking jest płatny przez 6 lub 7 dni w tygodniu. Tak jest już w Gdańsku, we Wrocławiu, w Toruniu, Szczecinie czy Krakowie. *Mamy na tyle rozbudowaną sieć tramwajową, że można dojechać* – argumentuje Andrzej Kulig, wiceprezydent stolicy Małopolski.

Poza ucywilizowaniem parkowania na obszarach gęstej zabudowy płatna strefa oznacza także wpływy do miejskiego budżetu, które można przeznaczyć choćby

na rozwój komunikacji miejskiej. Są to wpływy niebagatelne. Roczne przychody z warszawskiej SPPN to niemal 200 mln zł. Wiadomo, że każda, nawet najdrobniejsza zmiana znajdzie przeciwników, jednak ten, kto mieszkał względnie blisko Śródmieścia, a więc na skraju strefy płatnego parkowania, pamięta, ilu gości przybywało z wizytą, by zaparkować pod jego oknami.

Miasto to nie tor wyścigowy

Niebawem przekonamy się, jaka będzie reakcja administracji rządowej na propozycję, która rozgrzeje znacznie więcej głów, czyli na projekt wprowadzenia strefy Tempo 30 na stołecznych drogach lokalnych i osiedlowych. Już słyhać głosy, odczochy podchwytywane przez samodzielnicy, jakoby w całej Warszawie miało obowiązywać ograniczenie do 30 km/h. Owszem, strefy z ograniczeniem będą we wszystkich dzielnicach, nie obejmą one jednak dróg tranzytowych

i rozprowadzających. Historyczny argument, zgodnie z którym strefą Tempo 30 „zostanie objęte 90% powierzchni miasta”, przekształcany często w „90% długości ulic”, nie ma uzasadnienia, jeśli spojrzymy na plan miasta z zaznaczonymi obszarami – w większości uliczkami – na których ruch ma zostać uspokojony¹.

Strefy Tempo 30 nie są nowym pomysłem ani w Europie, ani w Polsce. Od blisko dekady jest on częścią realizowanej w Jaworznie strategii „Wizja Zero”, czyli działań zmierzających do wyeliminowania śmiertelnych wypadków drogowych w mieście. Z taką inicjatywą wystąpił w 2014 r. kandydujący na prezydenta miasta Paweł Silbert. *Ogłosiłem w programie wyborczym, że rozpocznę wdrażanie skandynawskich rozwiązań bezpieczeństwa ruchu drogowego – to infrastruktura miała wymusić na kierowcach przestrzeganie przepisowych prędkości jazdy. Głównym narzędziem było fizyczne zawężanie pasów ruchu. Przyniosło to likwidację korków, zwiększenie płynności jazdy i 2 ponaddwudziestomiesięczne okresy bez wypadków śmiertelnych. Od 3 lat utrzymuje się stała liczba wypadków – 27 rocznie. Dekadę temu było ich 100 rocznie* – wylicza prezydent Jaworzna.

Samorządy prowadzą też drobne działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa. Podchwyciły m.in. zachodnio-europejski pomysł szkolnej ulicy, czyli zamykania dla ruchu samochodowego odcinków ulic przed szkołami na 30 minut przed pierwszym dzwonkiem. Na świecie jest już ponad 1,2 tys. takich ulic.

¹ Mapa projektowanych stref Tempo 30, <https://transport.um.warszawa.pl/obszary-strefy-tempo-30> [dostęp: 16.06.2023].



Il.: Harur Movsisyan z Pixabay

Poza ucywilizowaniem parkowania na obszarach gęstej zabudowy płatna strefa oznacza także wpływy do miejskiego budżetu, które można przeznaczyć choćby na rozwój komunikacji miejskiej

Pilotaż akcji mają za sobą Wrocław, Warszawa, Kraków i Tychy. Z pierwszych prób wynika, że kluczowymi kryteriami powodzenia takich przedsięwzięć są: (1) położenie szkoły przy ulicy o charakterze lokalnym bez istotnej funkcji tranzytowej oraz bez komunikacji miejskiej, (2) osiedlowy charakter szkoły z wyraźną przewagą uczniów mieszkających w odległości pozwalającej na 15-minutowe dojsię, (3) możliwość organizacji ruchu z wyłączeniem odcinka przy szkole bez groźby blokowania użytkowników (oczywiście, mimo ograniczenia ruchu, mieszkańcy okolicznych domów mogą w tym czasie wyjeżdżać) oraz (4) zaangażowanie, a także gotowość do współpracy społeczności szkolnej oraz osiedlowej. Sprawa nie jest błaha – z badań ruchu przeprowadzonych przed eksperymentem w Warszawie wynikało, że od 7:30 do 8:15 przez szkolną uliczkę przejeżdżało 230 samochodów (ponad 5 przejazdów na minutę).

Przyzwycailiśmy się do wzmożonego ruchu samochodów pod szkołami, nasze dzieci nie znają innej drogi do szkoły niż ta pomiędzy manewrującymi samochodami. Szkolna ulica pokazuje, że może być inaczej – mówi Anna Szmigiel-Franz z Biura Zrównoważonej Mobilności Urzędu Miasta, która pełni rolę oficerki pieszej Wrocławia.

Miasto to nie auto-szrot

Kraków z kolei podjął się roli krajowego pioniera w kwestii stref czystego transportu. Ubiegłoroczna uchwała przewiduje utworzenie ich na terenie całego miasta. Pierwsze zmiany mają

wejść w życie w lipcu 2024 r., a kolejne – 2 lata później. W efekcie do Krakowa wjadą pojazdy zasilane wyłącznie benzyną/LPG o minimalnej normie Euro 3, a w przypadku pojazdów z silnikami Diesla – o minimalnej normie Euro 5². Łatwo jednak nie było, nie jest i nie będzie. Wojewoda małopolski już zdążył zakwestionować uchwałę krakowskich radnych, a sprawa trafiła do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego.

Pomimo tego w ślady Krakowa zamierzają iść władze Warszawy i Wrocławia. One też nie będą mogły liczyć na przychylność urzędników rządowych ani na poklask samochodziarzy, choć, jak ocenia wiceprezydent Warszawy Michał Olszewski, na pierwszym etapie stołeczna

Głównym frontem walki z samochodową pozostają duże miasta, jednak dobry przykład idzie też z mniejszych ośrodków, takich jak Jaworzno, Tychy czy Pleszew, w których wprowadzana jest idea miasta 15-minutowego

Strefa Czystego Transportu dotknęłaby jedynie 2% pojazdów. Zysk z ich wyeliminowania, tj. lepsza jakość powietrza, byłby jednak odczuwalny. *W 2021 r. zrobiliśmy badania – rejestrowaliśmy samochód (sczytywaliśmy numer rejestracyjny) i liczyliśmy jego emisję według danych z norm emisji. Dzięki temu wiemy, że 8% pojazdów wysokoemisyjnych, które jeżdżą po Warszawie, odpowiada za 40% zanieczyszczeń* – mówi Michał Olszewski, potwierdzając przy tym głosy z Krakowa: strefy czystego transportu to nie walka

² Uchwała Rady Miasta Krakowa nr C/22707/22, <https://www.krakow.pl/zalacznik/434539> [dostęp: 16.06.2023].

z kierowcami, ale próba poprawy jakości powietrza dla wszystkich.

Głównym frontem walki z samochodową pozostają duże miasta, jednak dobry przykład idzie też z mniejszych ośrodków, takich jak Jaworzno, Tychy czy Pleszew, w których wprowadzana jest idea miasta 15-minutowego. *Staramy się, by dostęp do wysokiej jakości podstawowych usług publicznych, niezależnie od miejsca zamieszkania w gminie, wynosił 15 minut komunikacją miejską lub rowerem* – wyjaśnia Arkadiusz Ptak, burmistrz Pleszewa, który firmuje to przedsięwzięcie. W tym względzie mniejsze miasta mają przewagę nad metropoliami, choć duże ośrodki również mogą pójść podobnym tropem i stworzyć np. 15-minutowe dzielnice.

Samochody nie znikną z miejskich ulic i nikt nie stawia takiego celu. Jednak ich pozycja w mieście ulegnie zmianie. Piesi nie będą już schodzić do podziemi, by pokonać skrzyżowanie, ani lawirować pomiędzy autami zaparkowanymi na chodniku. Nie będą też zatrzymywani przez stare diesle z wyciętym filtrem cząstek stałych. Samochody nie odjadą, ale być może – wraz ze zjazdem do zajezdni pokolenia wychowanego w PRL, dla którego własny samochód stał się synonimem wolności – odejdą samochodziarze. ♦

Filip Górski

Nasze miasto, nasza bardzo wielka wina

Trudno być mieszkańcem dużego miasta i nie przykładać ręki do jego powolnego upadku. Niezależnie od tego, czy mieszkamy w Krakowie, Warszawie czy w Gdańsku, codziennie przejawiamy zachowania, które jednoznacznie stawiają nas po którejś ze stron sporu, a tej przeciwnej dostarczają powodów do awersji. Blachosmrodziarze czy rowerowi terroryści? Lokatorzy czy rentierzy? System przewiduje katalog dość ciasnych ról i przypisanym im wzorów postępowania przy założeniu, że decyzja, które z nich obierzemy za własne, zależy tylko i wyłącznie od nas. Niestety ci, od których moglibyśmy oczekiwać głosu rozsądku w tej sprawie – zawodzą.

Bardzo wygodne i przyjemne jest przekonanie, że prezentowany światopogląd (np. wiara w prymat ruchu pieszego i rowerowego nad samochodowym lub w przewagę życia w „prawdziwym”, zwartym mieście nad egzystencją w „dystopijnych” blokowiskach) to kwestia wyboru i że wynika on z pokonania jakichś wcześniejszych złych uwarunkowań czy wyzwolenia się spod wpływu szkodliwych idei poprzez odczytanie oraz poznanie argumentów za i przeciw, innymi słowy: poprzez „dojrzewanie”. Wyższościowa

postawa, wedle której moje i twoje poglądy są słuszne, bo oparte na możliwości zdobycia przez nas obiektywnej wiedzy (a której inni – ci, którzy się mylą – nie chcieli dostąpić, zatem są za swoje braki odpowiedzialni, a my możemy im jedynie paternalistycznie pomóc), to chyba jedno z najbardziej szkodliwych uproszczeń. A przecież trzeba być naprawdę ślepy na naturę świata lub oderwanym od rzeczywistości, by nie dostrzec, że po pierwsze, dostęp do wiedzy nie jest równy, a po drugie – nawet najlepsze modele nie zawsze (i nie wszędzie) się sprawdzają. Przykładowo: nie każde miasto jest Warszawą.

Do tego, że korporacje i media głównego nurtu akcentują indywidualną odpowiedzialność konsumenta lub użytkownika, zdążyłem się już przyzwycząć. Pojawiającą się na stronach internetowych przewoźników lotniczych możliwość dopłaty w ramach „rekompensowania śladu węglowego” kwituję już tylko śmiechem, bo wiem, że wybierając się do przyjaciółki na drugi koniec Europy, nie jestem głównym sprawcą katastrofy klimatycznej ani nie mam wpływu na słabą ofertę połączeń kolejowych. Mierzi mnie też zrzucanie odpowiedzialności przez zawodowych polityków za powodzenie lub niepowodzenie różnych działań w zależności od partykularnego interesu (choć w jakimś sensie to rozumiem, w końcu chodzi o dzielenie i rządzenie), dlatego nie czułem się winny, chodząc w szczybie pandemii na tłumne protesty przeciwko zaostreniu prawa aborcyjnego (wbrew pojawiającym się na paskach państwowej telewizji sloganom o „siewcach

śmierci” na ulicach stolicy). Czy nie powinienem jednak oczekiwać więcej od osób i środowisk, które nie są uwikłane w biznes albo relacje władzy, a co za tym idzie – nie są zmuszone do obrony własnych stanowisk lub modeli gospodarczych za wszelką cenę?

Obwinianie ofiar

Eksport odpowiedzialności oraz iluzja wolnego wyboru serwowane nam przez rządy i korporacje zakorzeniły się w społeczeństwie tak dobrze, że podobną retorykę i przekonania zaczęliśmy przejawiać bardzo szeroko, oddolnie, i to w obszarach życia, w których byśmy się tego nie spodziewali, np. w lokalnym aktywizmie czy w dyskusjach dotyczących zarządzania miastami i ich przestrzenią. Komu opłaca się takie zatrucie debaty publicznej i kolonizacja jej języka w okolicznych tematach? No właśnie nikomu – co najwyżej tym, którym windują one poczucie własnej wartości, a także tym, którzy są naprawdę odpowiedzialni za problemy naszych miast.

Mamy rezygnować z jeżdżenia autem na rzecz podróży komunikacją zbiorową, by zmniejszyć zanieczyszczenie powietrza. Promuje się zieloną partyzantkę – oddolne nasadzenia łąk kwiatowych, drzew i krzewów, które mają uczynić życie w miastach znośniejszym w perspektywie coraz częściej pojawiających się susz i fal upałów. Osobami bez gustu i szacunku do historii miejsca nazywani są ci, którzy w celu zmniejszenia straty energii nieumiejętnie konserwują swój zabytkowy budynek mieszkalny, a obywatel mający do dyspozycji działkę budowlaną,

który chce zarobić i buduje na niej ciasnawy szeregowiec, obrywa jako niewdzięczny patodeveloper. Tymczasem większość tych problemów nie powinna być rozpatrywana w kategoriach indywidualnej odpowiedzialności za własne widzimisię, a raczej jako efekt zaniechań władzy, wadliwego prawodawstwa i niesprawiedliwości społecznej, np. zbyt niskich standardów kształtowania i ochrony zieleni, niskiego poziomu edukacji

Po pierwsze, dostęp do wiedzy nie jest równy, a po drugie – nawet najlepsze modele nie zawsze (i nie wszędzie) się sprawdzają

o lokalnym dziedzictwie kulturowym i słabego systemu wsparcia dla termomodernizacji, głodu mieszkaniowego, mało rygorystycznego planowania przestrzennego czy wysokiego urynkowania sektora nieruchomości.

Decyzje, które podejmujemy, nie zawsze zależą od naszej wolnej woli, a jeśli nawet, to często stanowią mniejsze zło lub jedyny racjonalny wybór ekonomiczny. Trudno oczekiwać, by osoby dotknięte skrajnym ubóstwem energetycznym w pierwszej kolejności brały pod uwagę zachowanie oryginalnej zewnętrznej formy budynku. Naiwnością jest wymaganie od inwestorów (zarówno indywidualnych, jak i bardziej zorganizowanych), by w imię dobrej urbanistyki lub zrównoważonego mieszkalnictwa samoograniczali się w obrębie funkcjonujących liberalnych przepisów. Wybór samochodu jako środka codziennego transportu może być natomiast

rozsądną opcją, gdy komunikacja miejska kursuje rzadko i długo, a ceny biletów nieustannie rosną. Jedno nie musi też wykluczać drugiego – nieodłączną częścią opowieści o wyborze, decyzji, winie (i karze?) jest binarny charakter dylematów. Tymczasem możemy być jednocześnie osobami podróżującymi na co dzień komunikacją miejską, a raz na jakiś czas – gdy zajdzie taka potrzeba – używającymi auta. Bywają też i tacy, którzy naraz

pełnią role zarówno najemcy, jak i landlorda.

Zdejmijmy ciężar z osób uwikłanych w system oraz będących jego ofiarami (większość z nas się do nich zalicza) i poszukajmy winnych tam, gdzie są naprawdę. Radosne happeningi i wymuszone niekorzystną sytuacją (lub próżnią w polityce samorządu) działania oddolne, choć czasem potrzebne i budujące wspólnotę, są w zasadzie wyręczaniem administracji z realizacji zadań, których skutecznego wykonania powinniśmy się domagać.

Systemowi antysystemowcy

Nadzieja w tych, którzy są w stanie przedstawić rozsądną alternatywę dla niewydolnego systemu, również na scenie lokalnej. Tymczasem grupy uważane za antysystemowe nie – szczególnie palą się do kwestionowania zastanego miejskiego porządku. Zamiast kontestować sztywny podział na szkodników i opresjonowanych czy zasob-

nych w wiedzę i nieświadomych, ruchy miejskie i pokrewne im środowisko aktywistyczne bardzo często utrwalają przekonanie o uniwersalności w dostępie do wiedzy i możliwości dokonania wolnego wyboru przez obywatela – zawsze i wszędzie. Zanim do tego przejdziemy, warto przyrzec się, jak grupy te odnoszą się do lokalnych władz.

Kryterium ekonomiczne (które nierzadko stanowi jedyną przesłankę podejmowania decyzji w samorządzie) zastępowane jest w tym przypadku przez kryterium naukowe (wyniki badań, nie zawsze dotyczących miejsca, o którym toczy się rozmowa) i zagraniczne inspiracje, tzw. dobre praktyki (nieraz wykorzystywane bezrefleksyjnie, bez oglądania się na polską specyfikę). W efekcie ruchy miejskie bardzo często uderzają we władze lokalne, zarzucając im realizację działań niezgodnych z „nowym paradygmatem”, „dobrą urbanistyką”, „zrównoważoną mobilnością” – mówiąc inaczej, mają poważne zastrzeżenia co do merytorycznego kierunku, w jakim podążają urzędnicy podlegli prezydentowi lub burmistrzowi. Pojawiają się również oskarżenia o niegospodarność czy korupcję, ale są one domeną raczej lokalnej opozycji zorganizowanej w partii (organizacje terenowe ogólnopolskich partii politycznych) traktujące miejskie poletko jako trening przed rozgrywką krajową (lub wręcz jako jedną z jej aren). Domniemane przekroczenia uprawnień, niedopełnienia obowiązków, nielegalne układy lub niejasne powiązania z biznesem w przypadku agendy ruchów miejskich najczęściej stanowią jedynie wytłumaczenie dla podej-

owania przez urząd „nieracjonalnych” decyzji (np. zabudowy klina zieleni czy ustalenia warunków zabudowy umożliwiającego powstanie wielkiego budynku na terenie bez odpowiedniej obsługi transportowej). Znajdowanie uzasadnień dla merytorycznie błędnej polityki ratusza obejmującej również problemy kadrowe w urzędzie”, bardzo ogólny „chaos w zarządzaniu” itp. W ten sposób lokalne ruchy wciąż jednak poprzestają głównie na kontestowaniu jakości podejmowanych decyzji, a więc rzucając zarządzącym wyzwanie: kto z nas ma większą wiedzę? Która z sił jest lepiej przygotowana, operuje na lepszych danych, bardziej skrupulatnym rozeznanie?

To ostatnie powinno obejmować nie tylko analizę światowych i europejskich trendów oraz przykładów z miast, w których dany problem (np. zanieczyszczenie powietrza) jest podobnie uwarunkowany. Zasadniczy powinien być odsłuch społeczny – opieranie swoich postulatów na potrzebach mieszkańców lub przynajmniej skrojenie ich

na miarę lokalnej społeczności. Piszę to przy założeniu, że ruchy miejskie prowadzą swoją działalność, ponieważ chcą uzyskać dobry wynik w wyborach

za niepowodzenia poszczególne grupy użytkowników miasta, a w najlepszym wypadku – bagatelizują ich potrzeby w myśl przekonania o prymacie własnej

Większość problemów nie powinna być rozpatrywana w kategoriach indywidualnej odpowiedzialności za własne widzimisię, a raczej jako efekt zaniechań władzy, wadliwego prawodawstwa i niesprawiedliwości społecznej

samorządowych (do rad miast, a w Warszawie również do rad dzielnic) i w ten sposób wpływać na kształt działań podejmowanych przez samorząd. Obserwując strategię różnych środowisk, zastanawiam się jednak, czy aby na pewno jest to ich cel. Jak inaczej wytłumaczyć dziesiątki sytuacji, w których przedstawiciele ruchów miejskich w komunikacji z mieszkańcami (swoimi potencjalnymi wyborcami) powielają narrację o wolnym wyborze i świadomej decyzji, a także obarczają odpowiedzialnością

wiedzy? W tym smutnym zjawisku bardzo ważną rolę odgrywa też zradyzalizowany, pełen pogardliwych określeń język. To nie jest strategia na przekroczenie progu wyborczego, lecz co najwyżej przykładanie ręki do polaryzacji i utrzymywanie duopolu partyjnego u władzy.

Patodyskurs i zwykła ignorancja

Szczególnie rażące wydaje się przypisywanie jednoznacznych i negatywnie nacechowanych



Il.: Julia Klimkiewicz

etykiet osobom bądź organizacjom, których poglądy lub zachowania stoją w sprzeczności z progresywną agendą miejską, czyli zespołem postulatów dotyczących wspierania ruchu pieszego, transportu zbiorowego, niskoemisyjności, bioróżnorodności itd. Epitety te są reprodukowane i rozszerzane na całe grupy obywateli bez weryfikacji, czy ich poglądy lub zachowania są pochodną tylko i wyłącznie subiektywnych, egoistycznych, konsumpcyjnych wyborów. Wydaje się, że eskalacja napięć występuje przede wszystkim wokół tematu motoryzacji

Decyzje, które podejmujemy, nie zawsze zależą od naszej wolnej woli, a jeśli nawet, to często stanowią mniejsze zło lub jedyny racjonalny wybór ekonomiczny

wraz z pojęciami takimi jak „samochodziarz”, „blachosmrodziarz” czy „autkarz” (ostatnie słowo to ironiczne zdrobnienie rzeczownika „auto”). Duże tarcia rodzi też obszar związany z budownictwem mieszkaniowym: mamy „patodeweloperów” (patologicznych deweloperów), „patodeweloperkę” czy „patowynajem”. Akcja budzi reakcję – silnie nacechowane emocjonalnie wyrażenia tworzy też druga strona, a język debaty zaognia się. Aktywiści i ruchy miejskie obrywają więc oskarżeniami o marksizm, a w środowiskach prawicowych przedstawiani są jako zawistni rowerzyści, którzy pragną zabrać miejsce samochodom lub w ogóle ograniczyć możliwość poruszania się (np. słynna teoria spiskowa o mieście 15-minutowym). W mediach społecznościowych działają

hejterskie profile, na których pojawiają się wpisy o życiu prywatnym niektórych aktywistów i ich rzekomej hipokryzji.

Czego nie załatwią najbardziej chamskie epitety, sprawi bagatelizowanie, relatywizowanie bądź podważanie zdania niektórych mieszkańców (potencjalnych wyborców) – pośrednio lub bezpośrednio. Mowa tu m.in. o tak jednoznacznych sytuacjach, jak utarczki słowne, np. niezbyt uprzejme i wyższościowe (dokonywane przy pomocy argumentu o wolnym wyborze w zakresie codziennych nawyków transportowych) przekonywanie osób,

które zgłaszają zastrzeżenia do pomysłów proponowanych przez aktywistów lub radnych o progresywnych poglądach (np. rozszerzenie strefy płatnego parkowania). Bardzo często zachodzą też okoliczności pośrednie, np. niezauważanie i niedocenywanie potrzeb mieszkańców czy upór w forsowaniu własnej wizji świata bez refleksji na temat lokalnego kontekstu i realnych problemów dotyczących wyborców. Przykładem takiej sytuacji może być spór o przyszłość otoczenia Szkoły Podstawowej nr 387 w Warszawie, gdzie na miejscu parkingu miasto zapowiedziało budowę nowego żłobka (część miejsc parkingowych zachowując jednak przed przyszłym budynkiem). Pomysł konsekwentnie krytykował stowarzyszenie Miasto Jest Nasze – mieszkańcy Warszawy zwracali jednak

uwagę, że niewielka liczba miejsc parkingowych może być potrzebna, by niektórym rodzicom umożliwić podwózkę i odbiór dzieci z placówki, a także zapewnić przestrzeń na samochody dla pracowników żłobka. Do podróżowania komunikacją zbiorową i rowerem oczywiście powinniśmy zachęcać, ale urządzenie tzw. szkolnych ulic w całym mieście (tworzonych w celu zapewnienia dzieciom bezpieczeństwa, czystszej powietrza i miejsca na budowanie relacji społecznych przestrzeni wokół placówek edukacyjnych z ograniczonym lub wyłączonym ruchem drogowym) może przecieć potrać latami; w dodatku nie każdy rodzic jest w stanie zawsze wybrać ekologiczny środek transportu (np. z powodów logistycznych czy ze względu na zdrowie dziecka). Rozumienie tych niuansów powinno być oczywiste dla społeczników, czyli osób, których marzeniem jest stworzenie miasta przyjaznego dla jego mieszkańców niezależnie od ich stopnia sprawności, zamożności, wieku, wykonywanej pracy czy miejsca zamieszkania – czynników, na które nie zawsze mamy wpływ. Tymczasem ruchy miejskie i środowisko aktywistyczne często zdają się być głuche na złożoność problemów, przed którymi stajemy jako zwykli ludzie, a wrogów szukają tam, gdzie mogłyby mieć sojuszników.

Świat wmawia nam, że to my możemy zmienić rzeczywistość na lepsze za pomocą codziennych wyborów, ale wiemy, że tak nie jest – po pierwsze dlatego, że wybory konsumenckie

w pewnym stopniu są pochodną sytuacji życiowej (a może wręcz klasowej) i nie zawsze możemy je swobodnie kształtować, a po drugie ponieważ architektami zmian powinni być w dużej mierze politycy, których wybieramy. Dobrze by było, by rozumieli oni skomplikowane zależności i umieli kształtować polityki publiczne tak, aby z najważniejszymi problemami można było sobie poradzić, uwzględniając prawdziwie lokalną specyfikę i, co najważniejsze, zrobić to skutecznie. Jeżeli proponowane alternatywne rozwiązanie (np. korzystanie z sieci transportu publicznego) nie będzie pozwalać na osiągnięcie efektów zbliżonych do stanu pierwotnego (np. czas dojazdu), tylko część osób będzie skłonna zaakceptować niedogodności dla idei. To kamyczek do ogródka ruchów miejskich – warto się zastanowić, z czego wynika relatywnie niskie poparcie dla tych komitetów w wyborach samorządowych.

Odmienne uwarunkowania klasowe (a co za tym idzie, pewnego rodzaju wybory) to również odmienne możliwości uczenia się czy przyswajania nowych idei. W tym obszarze potrzebujemy wyrozumiałości, a nie pouczającego tonu. Ruchy miejskie, które powinny być pośrednikiem w relacjach pomiędzy mieszkańcami a władzami samorządowymi (lub wręcz głosem tych pierwszych), najchętniej zajmują stanowisko niezależnego trzeciego aktora, który z eksperckich pozycji komunikuje się z obiema stronami. Bardzo bym nie chciał, by w jakimkolwiek polskim mieście jednych wiedzących lepiej zastąpiła druga ekipa przemydrzałych. ♦

Zdejmiemy ciężar z osób uwikłanych w system oraz będących jego ofiarami (większość z nas się do nich zalicza) i poszukajmy winnych tam, gdzie są naprawdę

Magdalena Madzia

Nie marnuj. Czy Polska nadąża za naszymi wyborami konsumenckimi?

Podjmując codzienne decyzje czy to w ważnych, czy drobnych sprawach, jesteśmy zazwyczaj przekonani o ich słuszności. Na pytanie: „Czy na pewno?” odpowiadamy często z irytacją, jednocześnie dając do zrozumienia, że przed oznajmieniem naszego wyboru przeprowadziliśmy dogłębną analizę sytuacji oraz dostępnych opcji.

Sam proces decyzyjny przebiega u każdego z nas różnie, a w zależności od trudności i stopnia skomplikowania tematu – odpowiednio szybko lub długo i boleśnie. Niezmiennie jednak cechuje nas wrodzona wręcz umiejętność bezkompromisowej obrony finalnie podjętych decyzji, które zaraz po „zrodzeniu się” stają się prawomocnym wyrokiem z rygiorem natychmiastowej wykonalności, a to oznacza, że na dialog i edukację w tym konkretnym przypadku jest już zdecydowanie za późno.

Nie szkodzić

W podejmowaniu decyzji kierujemy się zdobytą wiedzą, doświadczeniem, panującymi trendami czy opiniami innych osób, które wzbudzają w nas zaufanie. Internetowe wyszukiwarki pozwalają zastąpić samodzielny i powolny proces

myślowy – zalewają nas falą rozmaitych treści wątpliwej jakości, ale za to ładnie, przyjemnie i szybko podanych. Zazwyczaj przyjmujemy za słuszną zasadę „po pierwsze: nie szkodzić”, więc będziemy zdecydowanie odcinać się od wszelkich sugestii, że nasza decyzja wpływa bądź w przyszłości wpłynie negatywnie na otoczenie.

Czy jednak na pewno podejmowane przez nas decyzje są świadome, nasze własne i nie szkodzą? To pytanie moglibyśmy sobie zadać odnośnie do każdej sytuacji, kiedy musimy coś wybrać, ale dziś chciałabym je przenieść na grunt wyborów konsumenckich i zasady „nie marnuj”, czyli *zero waste*. Samo pojęcie *zero waste* często jest tłumaczone w mediach jako styl życia bądź moda. Tymczasem to nic innego, jak wyjątkowo świadome podejmowanie tych najdrobniejszych decyzji dnia codziennego. Wkurzam się, gdy czytam, że to idea, trend,

który wywraca wszystko do góry nogami. Dla mnie *zero waste* to po prostu wybór, aby nie generować niepotrzebnych odpadów, chronić środowisko i oszczędzać pieniądze. Co ciekawe, większość z zachowań, które pozwalają „nie marnować”, często jest tańsza niż alternatywy albo zupełnie bezpłatna. Znamy wiele przykładów takich rozwiązań. Wydaje się to proste. W czym więc tkwi problem?

Plastikiem jest piekło wybrukowane

Z wielu przeprowadzonych badań wynika, że większość z nas ma świadomość szkodliwego wpływu tworzyw sztucznych na zdrowie oraz środowisko. Wiemy, że jeśli czegoś nie zmienimy, to naszym dzieciom zostawimy w spadku śmieci i kryzys klimatyczny. Mimo to trudno nam odrzucić jednorazowe pojemniki, które nie nadają się do odzysku, lub produkty pięknie zapako-

wane w kilka warstw. Skoro mamy świadomość problemu, to dlaczego nieustannie jesteśmy zalewani plastikiem?

Bardzo opornie idzie nam również wprowadzanie ustaw, które mają nas wpierać w wybieraniu produktów o jak najmniej szkodliwym wpływie na środowisko. Ustawa eliminująca jednorazowe plastiki w końcu została przyjęta. Nadal jednak czekamy na system kaucyjny oraz ustawę o rozszerzonej odpowiedzialności producenta (ROP) za opakowania. Przepisy te są niezbędne i byliśmy zobowiązani je wdrożyć kilkanaście miesięcy temu. Gotowe ustawy nie mogą się doczekać sejmowego debiutu, choć znamy je z praktyki w innych krajach i wiemy, że kaucja oraz ROP działają, a społeczeństwo jest gotowe na takie rozwiązania i ich oczekuje.

Przestaliśmy już unikać dyskusji na temat odpadów. Traktujemy go poważnie i przyglądamy się metodom stosowanym w innych krajach. W ramach poparcia racjonalnej polityki odpadowej coraz chętniej angażujemy się w działalność społeczną, bierzemy udział w takich inicjatywach, jak wyprzedaże osiedlowe lub targi wymiany ubrań, kupujemy w sklepach charytatywnych czy szukamy miejsc, gdzie możemy nauczyć się np. naprawy starych sprzętów bądź ich renowacji. Zbieramy podpisy pod petycjami i kierujemy apele do rządzących za szybkim przyjęciem koniecznych zmian. Wiemy, że śmieci magicznie nie znikną, a brak działań odbije się na naszych coraz chudszych portfelach.

Krytykujemy również plany budowy zbyt wielu przeskalowanych spalarni śmieci. Rozu-

miemy, że to krótkowzroczne rozwiązania, które dowodzą braku pomysłu rządzących na działania wspierające nas, obywateli, w osiągnięciu coraz wyższych poziomów recyklingu – nie wspominając już o kosztach, jakie ponosiliby zwykli mieszkańcy w przypadku spalania odpadów poza ustawowymi limitami. Ruch antyspalarniowy w Polsce jest wyjątkowo silny i potwierdza wzrost świadomości obywatelskiej oraz zaangażowania społecznego w kwestie

Wiemy, że jeśli czegoś nie zmienimy, to naszym dzieciom zostawimy w spadku śmieci i kryzys klimatyczny

klimatyczne, środowiskowe, zdrowotne. Spalarnie nie wpisują się w model gospodarki o obiegu zamkniętym i przeczą idei *zero waste*.

Nie tędy droga. Dziś oczekujemy nowych, zdecydowanych działań, ale bez zmian prawnych będzie to niemożliwe.

Marnotrawstwo

Aż 1/3 wyprodukowanej na świecie żywności się marnuje i każdy z nas ma w tym swój udział. Marnujemy jedzenie i środki, zużywamy zasoby i dokładamy emisje do każdej produkcji czy hodowli. Marnują zarówno indywidualni konsumenci, jak i biznes (produkcja, przetwórstwo, dystrybucja). W przypadku konsumentów rozwiązaniem jest kupowanie po prostu mniej oraz dzielenie się. W Polsce prężnie działają takie organizacje jak Food Not Bombs, powstają nowe jadłodzielnie czy sklepy

charytatywne. Świadomość problemu rośnie i dobrze, jednak jeśli chodzi o biznes, potrzebne są regulacje.

Co prawda w 2019 r. została uchwalona ustawa o przeciwdziałaniu marnowaniu żywności, dzięki której udało się częściowo ograniczyć wyrzucanie produktów spożywczych przez sklepy, jednak do rozwiązania problemu nadal jest bardzo daleko. W Polsce mowa o 4,8 mln ton żywności rocznie. Większość zmarnowanej jedzenia, bo prawie

60%, trafia do kosza w naszych domach. Za 30% odpowiada produkcja i przetwórstwo. Ustawa dotyczy pozostałych 7%, ale to wciąż ponad 300 tys. ton żywności. Przepisy obejmują obecnie duże sklepy z przychodami z produktów żywnościowych powyżej 50%. Takie podmioty zobowiązane są do podpisania umowy z organizacjami pozarządowymi, ale jeśli tego nie zrobią, kary są symboliczne (5 tys. zł) i często nieuiszczane. Za 1 kg zmarnowanej żywności sklep ponosi opłatę w wysokości 10 gr. Ustawa wymaga pilnych zmian. Jest nieprecyzyjna i pomimo jej wprowadzenia jedzenie nadal się marnuje – wystarczy, że zostanie wyrzucone przed upływem daty ważności. Duże sklepy nie traktują kary w wysokości 5 tys. złotych zbyt poważnie, a podmioty kontrolujące nie są w stanie weryfikować wszystkich placówek. Kubły na śmieci nadal się zamyka, uniemożliwiając



Il.: Paweł Mitech za pomocą AI

np. freeganom odzyskanie tego, co nadaje się do spożycia. To jeden z wielu aspektów marnowania, który należy systemowo poprawić, ale w tym konkretnym przypadku jest już na czym pracować.

Spróbujmy to naprawić

Coraz częściej widzimy potrzebę oddania czy odsprzedania tanio rzeczy, które mogą się jeszcze komuś przysłużyć. Podobają nam się również przedmioty, które znalazły nowe zastosowanie, albo takie, których renowacja nas zachwyciła, a chodzenie do „ciucholandu” nie jest już obciążeniem. Rosnące ceny zmusiły nas do weryfikacji koszyka zakupowego – szukamy tańszych, alternatywnych rozwiązań, chętniej przeglądamy ogłoszenia „oddam za darmo” i jeśli możemy coś naprawić, to na pewno korzystamy z takiego rozwiązania.

O ile możemy sami wystawić na portalu czy w grupie w mediach społecznościowych przedmioty do oddania, aby uniknąć kłopotów z transportem i opłat za odpady, o tyle naprawa sprzętów wymagająca specjalistycznej wiedzy pozostaje poza naszym zasięgiem. Znalezienie „złoty rączek”, które potrafią na nowo ożywić sprzęt AGD czy RTV, jest trudne, a sama usługa droga. Dodatkowo producenci sprzętów nie chcą ponosić odpowiedzialności za ich naprawę, a często wręcz ją utrudniają poprzez zastosowanie takich rozwiązań, aby nie było to opłacalne czy możliwe do samodzielnego przeprowadzenia. Wówczas podejmujemy decyzję, aby kupić nowe. Jest to niby nasz wybór, ale gdybyśmy mogli dokonać naprawy, zaoszczędzić środki

i zmniejszyć liczbę wyrzucanych rzeczy, nasza decyzja byłaby inna. Tymczasem jesteśmy coraz bardziej świadomymi, ale nadal biernymi ofiarami producentów wytwarzających towary marnej jakości i o krótkiej żywotności, których naprawa jest niemożliwa lub pozbawiona sensu ekonomicznego. Zmiany prawne są konieczne.

Unia Europejska przedstawiła niedawno propozycję przepisu

Spalarnie nie wpisują się w model gospodarki o obiegu zamkniętym i przeczą idei *zero waste*

dotyczącego okresu wsparcia serwisowego. Gwarancja naprawy miałyby sięgać nawet 10 lat. Nie należy tego mylić z darmową naprawą w ramach gwarancji. Zapis miałby na celu zabezpieczenie dostaw części zamiennych do przedmiotów, którym gwarancja się skończyła, aby możliwa była ich naprawa zarówno w ramach obsługi producenta, jak i we własnym zakresie. To ważny krok w dobrym kierunku. Znany przypadek, kiedy drogi sprzęt zepsuł się tuż po upływie okresu gwarancji, a producent zachęca do kupna nowego, zasłaniając się brakiem części zamiennych czy nieopłacalnością naprawy. Coraz częściej wymieniamy się opiniami, że obecnie produkowane sprzęty są słabej jakości i służą nam dużo krócej niż kiedyś, nawet jeśli wykupimy dodatkowe, wydłużone gwarancje.

Nie oznacza to jednak, że nie można dzisiaj nic naprawić. Usługi rzemieślnicze nie są zbyt popularne, ale to nisza rynkowa, która powoli się odradza, a my możemy ją odpowiednimi prze-

pisami i inicjatywami skutecznie wspierać.

W jednym z ostatnich kompleksowych raportów Najwyższej Izby Kontroli dotyczących gospodarki odpadami możemy wyczytać, że w Polsce nie powstało ani jedno miejsce, które pełniłoby funkcję centrum ponownego użytku i napraw. Minęło trochę czasu i w roku 2023 takich miejsc jest zaledwie kilka. Punkty-centra ponowne-

go użytku połączone z ofertą edukacyjną dla mieszkańców i szkół, a także usługami naprawy niesprawnych sprzętów są w wielu krajach skutecznym przykładem realizacji idei „używaj ponownie”. W Polsce tę rolę przejęły grupy internetowe i popularne platformy sprzedażowe, które pozwalają szybko i skutecznie dać naszym przedmiotom drugie życie. Popularnością cieszą się tam również rzeczy zepsute bądź uszkodzone. Jest to dowód na realną potrzebę oraz potencjał wdrażania w życie praktyk i zasad *zero waste*. Nie zastąpi to jednak rozwiązań systemowych na szczeblu krajowym i samorządowym. To kolejne zmiany, które są potrzebne i których społeczeństwo oczekuje, dokonując wyborów poza schematami i szukając przestrzeni na realizację świadomych zachowań konsumenckich.

Recykling i biogazownie

Recykling oznacza segregację odpadów do przetworzenia, jeśli

nie można ich użyć ponownie. Wybór odpowiedniego pojemnika na śmieci teoretycznie nie powinien być wielkim wyzwaniem, w praktyce wygląda to jednak inaczej. Po pierwsze, nasza świadomość potrzeby segregacji odpadów rośnie, ale wciąż pozostaje zbyt niska, a nieprzestrzeganie zasad jest w tym przypadku akceptowane społecznie, zwłaszcza w zabudowach wielorodzinnych. Po drugie, trudno jest dokonać segregacji opakowania, na które składa się kilka rodzajów materiałów. O ile pierwszy problem można łatwo rozwiązać, wprowadzając kaucję, o tyle wydajna, skuteczna i odpowiednia segregacja możliwa będzie po wdrożeniu przepisów o odpowiedzialności producentów za opakowania. W maju 2023 r. organizowane były protesty przed siedzibą Ministerstwa Klimatu i Środowiska, a wcześniej zbierane podpisy i składane petycje za szybkim wprowadzeniem kaucji. To kolejne wyczekiwane rozwiązanie, które jest w stanie zmienić ilość odpadów oraz przyspieszyć osiągnięcie wymaganych poziomów recyklingu.

Kolejną ważną kwestią jest kompostowanie odpadów organicznych bez szkody dla środowiska. Odpady biodegradowalne odpowiednio szybko zagospodarowane mogą być bazą surowcową do wyprodukowania nawozu na własny użytek, a w skali masowej da się z nich wytworzyć energię i jednocześnie nawóz, stosowany m.in. w produkcji rolnej. Im mniej marnujemy żywności, tym mniej produkujemy odpadów bio, których nie jesteśmy obecnie w stanie skutecznie przetworzyć w insta-

lacjach biogazowych, ponieważ ich po prostu nie ma. Szkodzimy sobie zatem potrójnie: marnujemy żywność, marnujemy zasoby oraz pogarszamy jakość naszego życia np. w otoczeniu składowisk. Nie oszukujmy się jednak, zawsze będziemy produkować pewne ilości śmieci, dlatego tak ważne jest, aby można je było poddawać recyklingowi lub kompostować.

Pod adresem <https://banki-zywnosci.pl/spolecznosci-nie-marnuja/> można znaleźć zebra- ne na prawie 80 stronach dobre praktyki *zero waste* w samorządach. To pomysły zrealizowane w ostatnim czasie, będące odpowiedzią na nasze potrzeby i często inicjowane przez samych członków lokalnych społeczno-

Większość zmarnowanego jedzenia, bo prawie 60%, trafia do kosza w naszych domach. Za 30% odpowiadają produkcja i przetwórstwo

ści: ReUżytkownia, niezliczone ilości bazarków, ograniczanie produktów jednorazowego użytku, klauzule umowne do stosowania w zamówieniach publicznych, nacisk na zbiórki selektywne, naprawa elektroodpadów, zbiórki zużytego oleju spożywczego, banki rzeczy używanych, promowanie kompostowania, warsztaty naprawcze, wymienialnie rzeczy, intuicyjne instrukcje, ułatwianie dostępu do wiedzy, programy edukacyjne, programy ratowania żywności czy ekoambasadorzy. Inicjatywy te stanowią jednocześnie wskazówki dla pozostałych gmin w Polsce, jak należy skutecznie zaopiekować się odpadami. Omówione działania to rozwiązania *win-win* dla samorządów

i konsumentów, na których nikt nie traci, a każdy korzysta. Nie ulega wątpliwości, że wiele z nich możemy podjąć sami już teraz, jednak bez odpowiednich przepisów, a przede wszystkim bez zaangażowania lokalnych samorządów proces ten będzie powolny. Naszą rolą będzie więc aktywność na poziomie indywidualnych decyzji konsumenckich, ale także wymaganie od rządzących przyjęcia zrównoważonych, długoterminowych strategii wspierających nasze wysiłki.

Rozważania dotyczące wyborów w podejściu *zero waste* skupiają się zatem na analizie dwóch aspektów: wpływu naszego wyboru o dokonaniu zakupu lub powstrzymaniu się

od niego oraz wpływu zakupionego produktu wraz z jego opakowaniem na środowisko. Tym, co uniemożliwia nam decyzje w pełni racjonalne, jest w dużej mierze brak systemowego wsparcia. Najważniejsi w tym procesie pozostajemy jednak my, konsumenci. Możemy nie tylko sami podejmować dobre decyzje, lecz także dzielić się swoim doświadczeniem i zachęcać innych. A przede wszystkim możemy wywierać nacisk na rządzących, aby odpowiednie regulacje wprowadzali, pomimo drobnych niedogodności niekiedy z tym związanych. Bo kto nie zapomniał wziąć ze sobą do sklepu torby wielokrotnego użytku, niech pierwszy rzuci kamieniem. ♦

Maciej Chrapkiewicz

Codienne wybory – nadzieja w kooperatywach

W jaki sposób można jednocześnie chronić Ziemię, zmieniać system ekonomiczny, dbać o swoje zdrowie i tworzyć lepsze społeczeństwo? Czy są kooperatywy spożywcze i dlaczego warto się w nie zaangażować?

Na znaczną część rzeczywistości nie mamy wpływu. Zwykle to nie my decydujemy o tym, jak bardzo skomplikowane będzie prawo, ile szkodliwych substancji będą emitowały zakłady przemysłowe i jak bardzo ogłupiające treści będą transmitowane przez telewizję i radio.

Są jednak takie obszary świata, które możemy kształtować, i to od nas zależy, jak tę możliwość wykorzystamy. Poprzez swoje codzienne wybory

Obecnie w Polsce istnieje kilkadziesiąt kooperatyw spożywczych

możemy albo przyczynić się do postępującej destrukcji planety i cywilizacji, albo współtworzyć nowy, lepszy świat, w którym ludzie będą żyli w wolności i zdrowiu, a Ziemia będzie szanowana i chroniona.

Każda z naszych decyzji ma określone konsekwencje i oznacza wspieranie podmiotów, o których istnieniu możemy nawet nie wiedzieć. O ile większość z nas nie ma realnego wpływu na intencje polityków,

urzędników czy członków rad nadzorczych i zarządów wielkich firm, o tyle podejmujemy decyzje w wielu kwestiach ważnych nie tylko dla nas i naszej rodziny, ale też dla całego świata. Znalezienie przedszkola lub szkoły dla dziecka, wybór programów w telewizji, korzystanie z samochodu czy sposób spędzania urlopu – wszystko to ma duży wpływ na kierunek rozwoju naszej cywilizacji, dobro ludzkości i stan planety.

Wszyscy mamy jakieś środki finansowe, które wydajemy w taki czy inny sposób. Możemy wybrać jazdę samochodem po zakorkowanych ulicach i z trudem znaleźć miejsce na zatłoczonym parkingu przed supermarketem należącym do którejś z zachodnioeuropejskich korporacji, by następnie kupić wózek pełen opakowanych w plastik produktów sprowadzanych z odległych rejonów świata, wytworzonych w fabrykach żywności ze składników pochodzących z przemysłowego rolnictwa i od zwierząt

hodowanych w tragicznych warunkach, zawierających pozostałości pestycydów, duże ilości białego cukru lub syropu glukozowo-fruktozowego oraz wiele sztucznych, szkodliwych dla zdrowia konserwantów i wzmacniaczy smaku. Następnie w pośpiechu skorzystamy z kasy samoobsługowej (bo na miejsce przy kasie tradycyjnej czeka już wiele innych osób), słysząc, jak maszyny wydają kolejne polecenia. Po zapako-



Il.: 1917 r., Edward Abramowski, Wydawnictwo: W.L. Miernicki i S-ka

waniu w plastik tych mocno już opakowanych produktów załadujemy je do bagażnika swojego samochodu i zakorkowanymi ulicami wrócimy do domu. Kiedy już je rozpakujemy, zabieramy się do lektury artykułów czy książek na temat postępującej destrukcji naszej planety i tego, co można zrobić, aby zatrzymać ten proces. Możemy też sami zacząć pisać o niesprawiedliwościach obecnego systemu ekonomicznego i jego destrukcyjnym wpływie na świat.

Dobrze, powiedzmy, że taka sytuacja nie jest idealna i można wyczuć w niej pewną sprzeczność, ale czy da się postępować inaczej? Czy mamy jakiś wybór? W końcu potrzebujemy wielu produktów, a jako że nie jesteśmy ich wytwórcami, musimy je od kogoś kupić. A przecież wszystkie sklepy wyglądają podobnie – bez względu na to, czy jesteśmy w super- lub hipermarkecie, czy w małym sklepie (z tą różnicą, że w tym ostatnim ceny są wyższe, a oferta jest dużo uboższa), na półkach stoją te

same sztuczne, niezdrowe, opakowane w plastik i wytworzone w nieetyczny sposób towary.

Realna alternatywa

A jednak rzeczywiście mamy wybór i nie jesteśmy skazani na kupowanie potrzebnych nam do życia produktów w sposób niezgodny z naszymi wartościami. Wystarczy, że zaangażujemy się w działania kooperatywy spożywczej lub sami ją założymy.

Zgodnie z pierwszym zdaniem definicji opracowanej przez Sieć Kooperatyw Spożywczych *kooperatywa spożywcza jest autonomiczną społecznością solidarnie współpracujących ze sobą osób, która dąży do zaspokajania potrzeb związanych z dostępem do żywności wysokiej jakości, wytwarzanej w sposób ekologiczny i etyczny*. Pełny tekst tej rozbudowanej i dobrze oddającej wartości polskiego ruchu kooperatywnego definicji można znaleźć na stronie internetowej Sieci¹.

Osoby należące do takiej kooperatywy mają możliwość kupowania żywności wytworzonej w sposób etyczny i przyjazny dla Ziemi, lokalnej oraz nieopakowanej lub opakowanej w minimalnym stopniu. Kryteria, jakie powinna spełniać sprowadzana żywność, ustalają członkowie kooperatywy. Mogą np. zdecydować, że będą kupowali wyłącznie produkty roślinne albo wytworzone w odległości do 50 km od swojej siedziby. Mogą też ustalić standardy związane z dobrotą hodowanych zwierząt. Dzięki temu członkowie mają możliwość kupowania żywności, a często także innych produktów (np. kosmetyków), w sposób zgodny ze swoimi wartościami.

¹ <https://parasolcoop/> [dostęp: 23.06.2023].

Kooperatywa spożywcza to grupa osób, które się znają i wzajemnie wspierają. Często rodzi się między nimi sympatia, a nawet przyjaźń. Wówczas kooperatywę można śmiało nazwać wspólnotą. O tym, jak ważna jest przynależność do takiej społeczności, przekonamy się zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych – zarówno osobistych, jak i społecznych.

Aktywność i rozwój w kooperatywach spożywczych

Kooperatywy to także szkoły aktywności społecznej, współpracy i wspólnego podejmowania decyzji. Są one otwarte dla wszystkich – przystąpienie do

Osoby należące do takiej kooperatywy mają możliwość kupowania żywności wytworzonej w sposób etyczny i przyjazny dla Ziemi, lokalnej oraz nieopakowanej lub opakowanej w minimalnym stopniu

nich nie jest ograniczane żadnymi dyskryminującymi warunkami. Wszystkie osoby należące do kooperatywy spożywczej mają równe prawa i taką samą możliwość uczestnictwa w procesie decyzyjnym. Jest to jeden z najważniejszych elementów odróżniających je od większości współczesnych firm i innych organizacji, w których decyzje podejmowane są przez nieliczne gremia (właścicieli, udziałowców, rady nadzorcze, zarządy lub urzędników sprawujących kierownicze funkcje). Kooperatywy są także miejscami, w których można doświadczać sprawczości – zrobić coś pożytecznego

i przyczynić się do zmiany świata na lepsze.

Kooperatywy często potrzebują nowych osób, które mogą im poświęcić choć niewielką część swojego czasu. Ci zaś, którzy będą w stanie zaangażować się mocniej, są na wagę złota. W kooperatywach potrzebne są rozmaite talenty do wykonywania wielu zadań: od wyszukiwania wytwórców żywności, nawiązywania z nimi kontaktu, odwiedzania ich i sprowadzania od nich produktów, poprzez paczkowanie tych produktów (czyli rozdzielanie ich dla poszczególnych odbiorców), do organizacji różnego rodzaju wydarzeń, obsługi informatycznej i finansowej, promocji itp.

Obecnie w Polsce istnieje kilkadziesiąt kooperatyw spożywczych. Część ma swoje strony internetowe, ale wiele z nich można znaleźć jedynie w mediach społecznościowych. Choć są to grupy nieformalne, niektóre reprezentowane są przez formalne organizacje, takie jak stowarzyszenia czy fundacje. Za ich pośrednictwem kooperatywy mają możliwość prowadzenia odpłatnej działalności pożytku publicznego oraz działalności gospodarczej. Przykładem jest Kooperatywa Dobrze, która w Warszawie prowadzi sklepy spożywcze dostępne dla wszystkich. Istnieje też wzmiankowana

już Sieć Kooperatyw Spożywczych, skupiająca kooperatywy funkcjonujące na terenie naszego kraju.

Kooperatywne idee i praktyka

Osobom zainteresowanym ideami spółdzielczymi warto polecić

Kooperatywy to także szkoły aktywności społecznej, współpracy i wspólnego podejmowania decyzji

twórczość Edwarda Abramowskiego, a zwłaszcza jego tekst *Kooperatywa jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego* (którego duża część dotyczy kooperatyw spożywczych). Do autorów szerzących kooperatywne idee można zaliczyć np. Stanisława Thugutta i Charlesa Gide'a. Byłoby wspaniale, gdyby w Polsce i innych krajach pojawiły się osoby studiujące dawniejsze teksty, które uaktualniałyby oraz wzbogacały treści spółdzielcze.

W rozwój współczesnego ruchu kooperatywnego możemy się włączyć, nawet jeśli lektura tekstów filozoficznych lub ekonomicznych nie jest naszym ulubionym zajęciem. W Polsce w ostatnich kilkunastu latach pojawiła się nowa fala kooperatywizmu. Do tego typu kooperatyw spożywczych, które istnieją już od ponad 10 lat, można zaliczyć np. Kooperatywę Grochowską czy Wawelską Kooperatywę Spożywczą. Osoby chcące współtworzyć nową, sprawiedliwą i solidarną gospodarkę mają taką możliwość chociażby poprzez dołączenie do istniejącej kooperatywy lub założenie nowej. Jeśli w okolicy, w której mieszkasz, nie pojawiła się żadna taka inicjatywa, może

warto, abyś założył(a) ją właśnie ty. Możesz liczyć na wsparcie ze strony osób, które już aktywnie działają w kooperatywach.

Pewnego dnia, wychodząc z supermarketu, podjąłem decyzję, że nie będę już robił zakupów w takich miejscach. Obecnie część produktów kupu-

ję w działającej w Bielsku-Białej kooperatywie Beskidzka Paczka, a pozostałą część – w małych sklepach, najczęściej ekologicznych. Idealna byłaby sytuacja, gdybym wszystko mógł dostać w ramach kooperatywy, lecz na razie jest to niemożliwe. Każdy produkt, który kupię w innym miejscu niż supermarket (w kooperatywie, małym sklepiku, na targu lub bezpośrednio od wytwórcy), jest moim wkładem w zmianę świata na lepsze. Czasem oznacza to, że muszę zapłacić więcej lub pojechać gdzieś dalej pociągiem lub autobusem, a więc poświęcić na to więcej czasu i wysiłku, ale myślę, że warto to robić. Bo jeśli my, osoby świadome niesprawiedliwości obecnego systemu i jego destrukcyjnego wpływu na środowisko naturalne, będziemy postępować wbrew naszym wartościom, to nie liczymy na to, że cokolwiek się zmieni na lepsze.

Każda złotówka, którą dysponujemy, daje nam szansę wyboru. Podejmujemy decyzje, które chronią naszą piękną planetę i wspierają prawdziwy rozwój ludzi. Angażujemy się w dobre inicjatywy i projekty. Działajmy w kooperatywach spożywczych! ♦

Paweł Miech

Jak nie odnieść sukcesu w biznesie

Gdy wejdziemy na stronę konferencji biznesowej Everest 2023, powita nas uśmiechnięta twarz lidera Konfederacji Sławomira Mentzena, który zachęca do zastanowienia się, co lubisz robić w życiu. Jeśli odpowiesz na to pytanie, pozostaje ci już tylko założyć firmę i prowadzić ją przez następne 20 lat. W ten sposób zostaniesz przedsiębiorcą i wyruszysz w podróż do sukcesu.

Mentzen w bio na stronie opisuje siebie jako tiktokera, który poprzez TikToka dociera do milionów osób. Wygląda na to, że to liczba obserwujących stanowi dla niego kryterium sukcesu, a powiększanie jej jest właśnie tym, co lubi najbardziej i na czym opiera swój biznes.

Jestem nałogowym użytkownikiem TikToka i wiem, że takich postaci jak Mentzen znajdziemy na chińskiej platformie miliony. Jej algorytm działa tak, że jeśli jakiś film będziemy oglądać dłużej lub damy mu polubienie, to kolejne materiały, które nam się wyświetlą, będą do niego podobne. Ponieważ filmiki przypominające te, jakie publikuje Mentzen, oglądam bardzo chętnie, dostaję ich od TikToka sporo.

¹ O mitygacji znajdziesz więcej informacji pod tekstem
² Bardzo ważnym, choć osobnym tematem jest to, że kraje świata różnią się między sobą również tym, w jakim stopniu ponoszą odpowiedzialność – współcześnie i historycznie – za globalne zmiany klimatu, a także jakimi dysponują zasobami, by wprowadzać w życie sprawiedliwe i skuteczne programy mitygacji i adaptacji do tych zmian, których już nie da się odwrócić.

Fascynująca w tych materiałach jest ich niesamowita naiwność i gigantyczny popyt na tego rodzaju treści. Porady, jak zarobić w prosty sposób, zakładając własny biznes, mają milionowe zasięgi. Nietrudno zgadnąć, jakie jest źródło tego popytu – najczęściej docierają one do osób zdesperowanych, które pieniędzy potrzebują jak powietrza. A ponieważ jak powietrza potrzebujemy ich prawie wszyscy, zasięg jest potencjalnie ogromny. Z pieniędzmi jest bowiem tak, że nawet jeśli ktoś je ma, to chce ich mieć jeszcze więcej, a jeżeli ich nie ma, to potrzebuje ich jeszcze bardziej. Dlatego materiały o zakładaniu biznesu zawsze będą miały szeroką publiczność. Im prostsze i bardziej naiwne, tym lepiej, bo tym więcej ludzi je obejrzy.

Czy kolorowanki z pskami dadzą nam miliony?

Motywatorzy z TikToka doradzają nie tylko robienie tego, co się lubi. Gdyby okazało się, że to, co lubimy, nie jest zbyt dochodowe, dostarczają nam pomysły, jak założyć inne biznesy. Przykładowo podobno można zarabiać krocie na sprzedaży kolorowanek, i to bez wychodzenia z domu. Wyjaśnia nam to osoba na nagraniu, które obejrzało już kilka milionów ludzi na świecie. Krok pierwszy: wchodzimy na stronę ChatGPT i prosimy o listę psków, które są najpopularniejsze wśród dzieci. Krok drugi: włączamy program Midjourney, który na podstawie tekstu generuje obrazy, i prosimy o stworzenie kolorowanki z każdym pieskiem z listy. Krok trzeci: z kolorowanek robimy książeczkę w programie Canva.

Najważniejszym warunkiem sukcesu nie jest ciężka praca, pasja czy kreatywność – są nim pieniądze

Krok czwarty: otwieramy sklep na Amazonie, zakładamy konto na należącej do niego platformie Kindle Direct Publishing, a Amazon wydrukuję nam towar i wyśle go do użytkownika (zatrzyma wprawdzie część przychodu na pokrycie kosztów druku i przewoź, ale przecież i tak zarobimy). Krok piąty: gratulujemy sobie, bo właśnie przestaliśmy być biedni – teraz zarabiamy miliony dzięki własnej przedsiębiorczości i kreatywności.

Pod tego rodzaju postem znajdziemy setki komentarzy osób, które proszą o więcej informacji. Niektórzy chcą nawet, by je zataić, aby inni nie wpadli przypadkiem na ten sam wspaniały pomysł biznesowy. Ktoś na marginesie zauważy, że podobnych kolorowanek jest już na Amazonie milion i sprzedają się za grosze, a najtrudniejsze wcale nie jest ich stworzenie, lecz znalezienie klientów. Jeszcze ktoś inny zaznaczy, że kolorowanki generowane przez sztuczną inteligencję często są niskiej jakości, bo zawierają wiele błędów. Tego rodzaju komentarze to jednak 1% ogólnej treści i spotykają się z negatywnymi reakcjami. Jeśli jesteś sceptykiem, to znaczy, że masz złą mentalność i nie odniesiesz sukcesu – ewidentnie nie chcesz przestać być biedny i szukasz dziury w całym. Zdecydowana większość reaguje entuzjastycznie.

Ciężka praca jest najważniejsza (jeśli masz 2 mln na koncie)

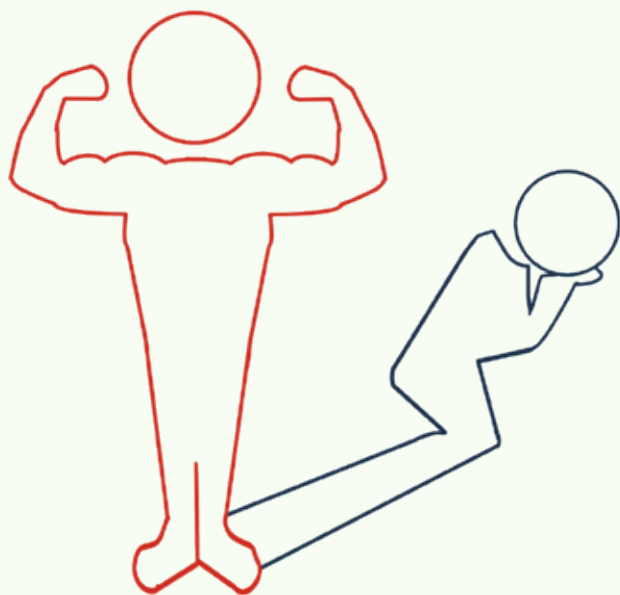
Innym zjawiskiem na TikToku są opowieści milionerów o tym, jak zostali bogaci. W większości przypadków zawierają one wyłącznie znane banały o ciężkiej harówce i świetnych pomysłach.

Sądząc po TikToku, każdy milioner doszedł do bogactwa wyłącznie własną pracą. Nikt nie dostał pierwszego miliona od taty czy mamy, nikt nie miał żadnych znajomości. *Ja i tylko ja odpowiadam za własny sukces* – twierdzi dumny bogacz i dzieli się sekretami swojego zwycięstwa. W jego opowieści prawie w ogóle nie pojawia się niewygodny temat kapitału potrzebnego do założenia biznesu. Pieniądze to coś, co milioner zdobył ciężką pracą. Nikt nie wspomina, ile ich miał wcześniej.

Przykładem jest Marc Randolph, twórca Netflix, który deklaruje, że chciał założyć firmę, ale nie wiedział jaką. Miał różne pomysły: jedzenie dla psów dopasowane do konkretnego pupila, specjalne kije do bejsbola... Spotkał się nawet ze znajomym miliarderem, przedsiębiorcą Reedem Hastingsem, i próbował przekonać go do którejś ze swoich koncepcji. Ostatecznie wymyślił wysyłanie płyt DVD pocztą. I tak powstał Netflix. Wniosek z przekazu Randolpha jest prosty: jeśli zastana-

wiasz się nad własnym biznesem, wystarczy mieć pomysł i działać, a dzięki ciężkiej pracy sukces przyjdzie sam.

Randolph pominął jednak kilka znaczących szczegółów. Krótko przed stworzeniem Netflixu Hastings sprzedał swoją poprzednią firmę za 850 mln dolarów. Randolph był w niej dyrektorem ds. marketingu, a Hastings już w trakcie zakładania Netflixu posiadał swój prywatny samolot i ogromny majątek, którego część mógł zainwestować w nowy biznes. Randolph miał za sobą kilkanaście lat na stanowiskach kierowniczych w różnych firmach i został zatrudniony przez Hastingsa. Był też jego współnikiem i miał 30% udziałów w firmie. Netflix na starcie dysponował 2,5 mln dolarów kapitału, w pierwszym dniu zatrudniał 30 pracowników i od razu miał w katalogu prawie 1000 pozycji, jako że za wielkie pieniądze nabył prawa do wszystkich filmów DVD, które były wówczas dostępne na rynku. Historia „od pacybuta do milionera” jest więc



Il.: Animamic z Pixabay

raczej historią „od milionera do większego milionera”.

Morał jest prosty. Najważniejszym warunkiem sukcesu nie jest ciężka praca, pasja czy kreatywność – są nim pieniądze. Nie da się zbudować biznesu bez kapitału, a sukces jest efektem jego posiadania. Gospodarka kapitalistyczna działa w myśl zasady „pieniądz robi pieniądz”. Jeśli tych pieniędzy nie masz, twoje szanse są bliskie zera. Nawet najprostsza firma wymaga bowiem nakładów – chociażby na biuro, pracowników, materiały i narzędzia pracy. A przede wszystkim na reklamę i pozyskanie klientów.

Zamiast zakładać biznes, lepiej się wypaść

Według danych ze Stanów Zjednoczonych połowa nowych biznesów znika po 5 latach działalności, a 1/5 już po roku². Dane te nie oddają jednak wiernie obrazu wielu firm w Polsce. W naszej rzeczywistości spośród 5 mln firm aż 3,5 mln to jednoosobowe działalności gospodarcze, a więc przede wszystkim programiści na tzw. B2B, adwokaci czy lekarze. Tego rodzaju firmy trudno porównywać z Netflixem czy jakimkolwiek innym większym przedsiębiorstwem. Na ogół są to alternatywy dla etatu dające zarobki podobne jak na etacie, tyle że związane zwykle z płaceniem niższych składek i podatków. Miażdżąca większość polskich „przedsiębiorców” nikogo nie zatrudnia i nawet tego nie planuje³. Nie są

² T. Huddleston Jr., *The 3 biggest reasons startups failed in 2022, according to a poll of almost 500 founders*, <https://www.cnbc.com/2023/01/20/top-reasons-why-startups-failed-in-2022-study.html> [dostęp: 14.06.2023].

³ P. Chrostek, A. Krawczyk, *Klasteryzacja jednoosobowych działalności gospodarczych*, „MF Opracowania i Analizy”, nr 6/2022, <https://www.gov.pl/attachment/0abae208-9862-453f-b5c6-49e866d684e0> [dostęp: 14.06.2023].

to biznesy, o których mówią nam sprzedawcy marzeń o milionach na koncie.

Rozwijanie tego typu firm jest trudne w warunkach zapełnienia rynku konkurencją. Ale na to trenerzy biznesowi z TikToka również mają rozwiązanie: trzeba szukać oceanów niebieskich, a nie czerwonych. Czerwony to ten, w którym setki rekinów walczą ze sobą o niewiele ryb, a woda jest czerwona od krwi. W niebieskim ryb jest wiele, ale rekiny jeszcze do nich nie dotarły. Rada jest prosta: szukaj niebieskiego oceanu! Ale jak go znaleźć, skoro z każdą koncepcją jest jak ze wspomnianymi kolorowanekami – milion użytkowników już drukuje swoje pieski? Poza tym skąd mamy wiedzieć, czy ocean jest niebieski, czy czerwony? Często możemy się o tym przekonać dopiero w momencie, w którym już straciliśmy czas na wydrukowanie swoich piesków do kolorowania.

A najlepiej po prostu nie dać się wciągnąć w ten wyścig. Zamiast pracować 20 godzin dziennie – na własny rachunek czy nie – lepiej się skupić na relacjach z rodziną i przyjaciółmi, a do tego konsumować mniej, spać więcej, troszczyć się o sprawność fizyczną, zdrowe nawyki żywieniowe, mniej wydawać, a także, na ile to możliwe, próbować zmieniać świat, dołączając do partii politycznych i stowarzyszeń. Takie życie może nie przyniesie milionów, ale daje znacznie większe szanse na prawdziwy sukces, jakim jest zwykle szczęście. Być może to naiwne, ale czy bardziej niż nadzieje na wielkie zyski ze sprzedaży kolorowanek z pieskami? ♦

Kacper Korgul

Wspólna lista, czyli kto nie z Tuskiem, ten przeciw niemu

Wybory parlamentarne coraz bliżej. Dla tegorocznych chyba najważniejszym kontekstem jest inflacja, choć wyborcy wskazują także na inne problemy, np. opiekę zdrowotną, bezpieczeństwo energetyczne czy praworządność. Tymczasem wysiłki marnowane są na dyskusje o połączeniu się w jeden twór polityczny. W tej grze dominuje Koalicja Obywatelska, która wręcz straszy Polki i Polaków, że bez wspólnej listy nie będzie Polski demokratycznej, co przypomina strategię obroną jeszcze przez Bronisława Geremka. Prawda jest jednak inna. Ten polaryzujący spór mieszający się ze wskazywanymi przez wyborców problemami już wkrótce wyłoni zwycięzcę walki wyborczej.

Jak zrodziła się idea jednej listy opozycyjnej? Niewiele osób pamięta, że na ów „rewolucyjny” pomysł już ponad 2 lata temu wpadli Borys Budka i Rafał Trzaskowski. Dnia 6.02.2021 r. odbyła się wielka konferencja prasowa, na której zaproponowano koalicję wszystkich partii zasiadających w parlamencie (oczywiście z pominięciem niebezpiecznej Konfederacji). „Koalicja 276”, której nazwa nawiązywała do liczby posłów potrzebnych do uchylecia w Sejmie prezydenckiego weta,

już od początku była skazana na niepowodzenie, a z nadzieją spoglądało na nią wyłącznie kierownictwo Koalicji Obywatelskiej. Wówczas żaden z liderów Lewicy, PSL-u czy nawet Polski 2050 nie wyraził zainteresowania udziałem w takiej inicjatywie. Co więcej, Adrian Zandberg – jeden z liderów Lewicy i współprzewodniczący Lewicy Razem – na Twitterze dał wyraz zaskoczeniu, że PO podpierniczyła logo Lewicy i udaje, że weszliśmy do jakiegoś Sojuszu. Sprawę tę skomentowała także posłanka Anna Maria Żukowska z Nowej Lewicy (wtedy jeszcze z SLD), która na

„Koalicja 276” już od początku była skazana na niepowodzenie, a z nadzieją spoglądało na nią wyłącznie kierownictwo Koalicji Obywatelskiej

antenie TVP Info przedstawiła podobny pogląd i wyznała, że nikt z Koalicji Obywatelskiej nie konsultował się w tej sprawie z żadnym z 3 przywódców Lewicy. To nie wróżyło najlepiej i tak nierealnej koalicji. Projekt spalił na panewce i niewykluczone, że to jego niepowodzenie było prawdziwym powodem powrotu Donalda Tuska do polskiej polityki. Ostatnie doniesienie prasowe, jakie udało mi się znaleźć po wpisaniu w wyszukiwarkę frazy „Koalicja 276”, pochodzi z dnia 6.02.2022 r. z TVP Info. Złośliwi powiedzieliby, że ostatnią osobą pamiętającą o tym pomysle był redaktor reżimowej telewizji, który tak bardzo się nim podekscytował, że jako jedyny napisał o nim artykuł – i to w dniu rocznicy ogłoszenia tej koalicji. Bez odpowiednich serwisów zajmujących się archiwizacją stron internetowych na próżno szukać

informacji o Koalicji 276 nawet na jej własnym portalu – ten jest już nieaktywny.

Donald wrócił

Od 2021 r. na najwyższych szczeblach Koalicji Obywatelskiej zmieniło się wiele. Minęło 5 miesięcy od niefortunnej propozycji, o której każdy zdążył już zapomnieć, kiedy swój powrót do polskiej polityki ogłosił Donald Tusk. Podczas jego wystąpienia można było odnieść wrażenie, że on także po cichu liczy na wspólną listę opozycji. Hasło „Idziemy po zwycięstwo”,

cytowane na Twitterze przez entuzjastów Koalicji Obywatelskiej z dopiskiem #SilniRazem, zdawało się sugerować, że nowy-stary przewodniczący wszystko dokładnie zaplanował i to on rozdawał karty dla całej opozycji. Na szczęście karty te zaczęły wypadać poza jego talię i – co dziś widać wyraźnie – wciąż wypadają.

Nie da się ukryć, że powrót Tuska, bez względu na zajmowaną stronę sceny politycznej, zrobił wrażenie na wszystkich obserwatorach. Każdy poczuł jakieś emocje, których duża część została wyrażona w Internecie. O to właśnie chodziło Koalicji Obywatelskiej – zgodnie ze starą zasadą marketingu w toczącej się grze wyborczej: „Nieważne, jak mówią, ważne, żeby mówili”. Głosy były bardzo zróżnicowane; o ile (bez zaskoczenia) ze środowisk KO

wybrzmiewały zachwyty, o tyle wśród zwolenników praktycznie każdej innej partii dominował sceptycyzm.

Lewica jako jedyna nie ograniczyła się do powtarzania bezmyślnego, wyjętego z kontekstu „Für Deutschland” Tuska czy narracji, że za rządów Platformy Obywatelskiej wszyscy kradli. Owszem, rządów PO i PSL nie można uznać za wybitne czy nawet szczególnie udane, jednak zarzuty o korupcję polityczną są na tyle uniwersalne, że dotyczą każdego rządu w każdej szerokości geograficznej, w związku z czym nie mają większej wartości. Lewica i jej wyborcy postąpili inaczej i stanęli ponad konfliktem przepelnionym absurdalnymi półargumentami czy obelgami.

Posłanki i posłowie przypomnieli, że wraz z powrotem Tuska wraca także stara wojna, która niszczy polską politykę, dzieląc ją na „zło i mniejsze zło”, i co więcej, dotyka również codzienne relacje między mieszkańcami naszego kraju. Konflikt ten doprowadził do obecnych rządów konserwatystów. Wojna w ramach partyjnego duopolu jest tym gorsza, że skupia się wyłącznie na atakowaniu wroga politycznego, przez co potrzeby wielu Polek i Polaków zostały przez rząd PO-PSL zepchnięte na drugi plan, a gdy władzę przejął PiS – niemal całkowicie zapomniane. Przez lata naprzemiennych rządów PiS-u i PO zapomniano o braku mieszkań, prawach pracowniczych, ochronie zdrowia, proekologicznych zmianach w energetyce i walce z dyskryminacją kobiet (szczególnie w kwestii prawa do przerywania ciąży) czy osób LGBT+. Wszystkie problemy,

z którymi mierzą się zwykli obywatele, a nie notable obydwu partii, są dla tych drugich jak inna rzeczywistość i nie zmieniają tego skromne propozycje składane w ramach przedwyborczych gier.

Kto nie z nami, ten przeciwko nam

Do tego hasła sprowadza się retoryka zarówno Zjednoczonej Prawicy, jak i Koalicji Obywatelskiej. Różnica jest jednak taka, że PiS wykorzystuje ten sposób manipulacji do tworzenia nowych wymaginowanych wrogów Polski i jej „tradycyjnych wartości”, zaś Koalicja Obywatelska próbuje włączać w szeregi swojej koalicji kolejne partie i ich wyborców.

Od kilku miesięcy jesteśmy świadkami prób partii Tuska, by przekonać wszystkich wokół, że wspólna lista to odpowiedź na autokratyczne zapędy ugrupowania rządzącego. Kto nie z nami, ten przeciw nam – kto nie chce przyłączyć się do wspólnego frontu w imię „dobrej sprawy”, a więc odsunięcia PiS-u od władzy i naprawienia wyrządzonych przez niego szkód, temu nie zależy na demokracji. Przedstawienie swojego pomysłu w taki sposób nie budzi żadnych wątpliwości, dlatego nikt ze środowiska Koalicji Obywatelskiej nie ma ochoty zagłębiać się w szczegóły. Uczestnictwo w tak dużej koalicji skazałoby jednak na zapomnienie program Lewicy. Nikt z autorów tej propozycji nie próbował podjąć żadnych rozmów z Czarzastym, Biedroniem czy Zandbergiem na temat wspólnych postulatów takiej teoretycznej koalicji, gdyż obecnie przyjęty przez KO program

**Przez lata
naprzemiennych
rządów PiS i PO
zapomniano
o braku mieszkań,
prawach
pracowniczych,
ochronie zdrowia,
proekologicznych
zmianach
w energetyce
i walce
z dyskryminacją
kobiet czy osób
LGBT+**

w większości klóci się z lewicowym podejściem do polityki socjalnej i gospodarczej.

Przykładem jest mieszkalnictwo. Donald Tusk na jednym ze spotkań z wyborcami w imieniu swojej partii obiecał kredyty mieszkaniowe o zerowym oprocentowaniu, tj. bez odsetek. Trudno pogodzić tę propozycję z lewicową agendą, nawet mając

Obecnie przyjęty przez KO program w większości klóci się z lewicowym podejściem do polityki socjalnej i gospodarczej

na uwadze kompromis między rynkiem a państwem. Pomysł ten opiera się bowiem na pompowaniu przez państwo dodatkowej gotówki w prywatne banki i kontynuację uprawianej w patologiczny sposób wolnorynkowej deweloperki. Efekt może być tylko jeden – ceny mieszkań będą rosły.

Lewica proponuje inne rozwiązanie: to państwo powinno budować mieszkania, które byłyby dostępne w ramach taniego wynajmu. W ten sposób zostałyby zaspokojone obecne potrzeby rynku (zwiększenie podaży mieszkań) bez zwiększania kwoty, jaką trzeba wydać na mieszkanie od prywatnego dewelopera. Lewica, w przeciwieństwie do Koalicji Obywatelskiej, całkowicie odrzuca kompromis między rynkiem a państwem, co przełożyłoby się na znaczne korzyści dla osób poszukujących mieszkania. Propozycję tę następująco podsumował Adrian Zandberg: *Państwo ma wielką rolę do odegrania, jeżeli chodzi o mieszkaniówkę, tylko że musi te pieniądze wydać mądrze, a nie głupio, bo jeżeli wyda je głupio, to*

skorzysta na tym sektor bankowy i skorzystają na tym deweloperzy. I tak niestety jest z rozwiązaniem PiS-u i Platformy, które po prostu tym grupom posłużą.

Przykładem tego, jak Tusk i jego środowisko używają strategii „kto nie z nami, ten przeciw nam”, jest także głosowanie w Sejmie w sprawie Krajowego Planu Odbudowy. Lewica,

podobnie jak PiS, PSL i Polska 2050, zagłosowały wówczas „za”. Koalicja Obywatelska przypuściła wówczas atak na Lewicę i stwierdziła, że jest ona potencjalnym kandydatem do koalicji ze Zjednoczoną Prawicą. Było to kłamstwo – Lewica nie głosowała w interesie partyjnym Prawa i Sprawiedliwości, lecz w interesie Polek i Polaków. Głosowanie to było ważne także dla utrzymania porządku w całej Unii Europejskiej, ponieważ odrzucenie pieniędzy z KPO przez Polskę mogłoby się wiązać także dla innych krajów członkowskich. W efekcie Lewica i jej zwolennicy musieli stworzyć akcję internetową nazwaną „Racjonalna opozycja” (nawiązanie do „totalnej opozycji”). Był to jasny sygnał ze strony Koalicji Obywatelskiej: to ona powinna kierować całą opozycją i nie widzi innego wariantu niż opcja totalnej opozycji, a co za tym idzie – głosowania przeciw PiS-owi w kwestiach ważnych nie tylko dla Zjednoczonej Prawicy, ale także dla wszystkich Polek i Polaków.

Komu potrzebna jest wspólna lista?

Zdecydowanie wyłącznie Koalicji Obywatelskiej, która bez względu na kształt przyszłych list wyborczych zachowa w nich pozycję lidera. Choć polski system wyborczy premiuje większe partie i koalicje, prawdziwą przyczyną uporu w promowaniu jednej listy jest przedstawienie innych partii opozycyjnych w złym świetle. Wspólna lista, na którą nikt nie chce się zgodzić, ma pokazać, że jedynym słusznym wyborem jest Koalicja Obywatelska, która łaskawie wyciąga rękę do innych partii, zaś te nie chcą jej uściśnić, by zjednoczyć się i wspólnie pokonać PiS.

W dyskusji na temat zjednoczonej opozycji zapomina się także o efektach podobnych jak w innych państwach, w których próbowano w ten sposób pokonać konserwatystów. Najgłośniejszy był przypadek Węgier – opozycyjna koalicja składała się z partii socjalliberalnych, nacjonalistycznych, chadeckich, liberalnych i socjaldemokratycznych. Koalicja Zjednoczenia dla Węgier próbowała odsunąć od władzy Viktora Orbána i jego partię Fidesz – na próżno¹. Podobny scenariusz nie przyniósł spodziewanych rezultatów w Izraelu, w związku z czym z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że podobnie byłoby także w Polsce. Wspólna lista nie wygra z władzą w żadnym kraju, w którym wybory są prowadzone w systemie proporcjonalnym – taki start można określić politycznym samobójstwem. ♦

¹ Więcej o porażce zjednoczonej opozycji na Węgrzech: J. Szyszko, *Jedna lista? Dlaczego opozycja na Węgrzech przegrała*, „Polityka”, 19 czerwca 2022, <https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/swiat/2160995,1,jedna-lista-dlaczego-opozycja-na-wegrzech-przegrała.read> [dostęp: 19.06.2023].

Dariusz Zalega

Ludzie, wartości, wybory, ruch

Ogromnym fenomenem okresu industrializacji były narodziny – w przeciagu kilku dekad – ruchu wyrażającego aspiracje środowisk robotniczych także w wyborach. Przyjrzyjmy się, jak wyglądało to na Górnym Śląsku.

Na początku miało być słowo – jakoby od Boga – zapewniające wszystkim miejsce na drabinie społecznej: jedni mieli rządzić, inni harować. Co rusz jednak podważano ten rzekomo odwieczny porządek, chociażby poprzez herezje religijne czy walki chłopskie sprzeciwiające się zwiększaniu świadczeń na rzecz panów. Prawdziwym wstrząsem okazała się rewolucja francuska ze swoim hasłem o równości każdego człowieka. Wbrew pozorom jej przekaz docierał nawet na Śląską wieś. Zmieniał się sposób myślenia o świecie, powoli dojrzewało poczucie, że i tym na dole hierarchii należą się jakieś prawa, a wkrótce także i głos. W czasie Wiosny Ludów pierwsi chłopi ze Śląska zostali wybrani do niemieckiego parlamentu. Korespondent „Schlesische Zeitung” donosił, że Gogolinie *gminy wybierały przeważnie tego rolnika czy zagrodnika, który występował z najbezpieczniejszymi żądaniami wobec dworu*¹. Goszczący wówczas na Śląsku Józef Łepkowski zanotował: *Lud ten ciekawo wiadomości, spraw poli-*

¹ Cyt. w: M. Pater, *O nowe spojrzenie na kwestię polskiej Wiosny Ludów na Górnym Śląsku*, w: *Od Wiosny Ludów do powstania górnos Śląskich*, w. Wrzesiński (red.), Bytom 1998, s. 27–28.

tycznych, bez porównania bardziej od naszych wieśniaków [w Galicji] oświecony². To był pierwszy krok wychodzenia ludu z gorsetu społeczeństwa stanowego, choć droga do całkowitej emancypacji miała być jeszcze długa.

Wbrew władzy i Kościołowi

Podjudzone przez duchowną i świecką reakcję baby i zaślepięna gawiedź rzuciła do naszych towarzyszy, stojących z kartkami,

² „Czas”, 27.04.1849.

kamieniami i krzyczała: – Dzieci ratujmy, Boga i kościół przed temi łotrami socjalnemi! Naszej wiary świętej! Działo się to w Biskupicach, Rudzie i Wirku – tak skarżono się na łamach „Gazety Robotniczej” w 1896 r.³ Ruchowi socjaldemokratycznemu na Górnym Śląsku nie wrócono powodzenia, a w historiografii regionu bagatelizowano jego rolę. Tymczasem Zagłębie Ostrawsko-Karwińskie stało się Zagłębiem „czerwonym”, a na Śląsku pruskim; po

³ „Gazeta Robotnicza”, 25.06.1896.



Il.: „Robotnik Śląski, Cieszyn 1905 r.

chwilowym osłabieniu w czasie wzrostu ruchu polskiego socjal-demokracja również zdobyła swoje bastiony w robotniczych osiedlach.

Przejście do pracy w fabrykach oznaczało ogromną przemianę społeczną. Wychodziło się poza dotychczasowe hierarchie, czemu dodatkowo sprzyjał ułatwiony przepływ nowych idei. Wielki wpływ na sytuację ludzi w pruskiej części Śląska miały 2 ofensywy rządu kanclerza Bismarcka uderzające w opozycję – ustawy nadzwyczajne przeciwko rosnącym w siłę socjaldemokratom oraz tzw. *Kulturkampf*, a więc zespół działań prawnych skierowanych przeciwko Katolickiej Partii Centrum i samemu Kościołowi. Ustawy antysocjalistyczne, wprowadzone w 1878 r., uderzyły w socjal-

Przejście do pracy w fabrykach oznaczało ogromną przemianę społeczną. Wychodziło się poza dotychczasowe hierarchie, czemu dodatkowo sprzyjał ułatwiony przepływ nowych idei

demokrację w momencie, kiedy ta na terenie Górnego Śląska jeszcze nie zdążyła zaistnieć, blokując tym samym jej szanse na rozwój (choć na początku lat 70. małe grupy socjalistów działały wśród robotników Bytomia, Gliwic, Katowic, Tarnowskich Gór i Kuźni Raciborskiej). Z kolei *Kulturkampf* przyczynił się do skupienia znacznej części ludności polskojęzycznej pod sztandarami Kościoła i Katolickiej Partii Centrum, a następnie powoli rozwijającego się polskiego ruchu narodowego. W tym też kierunku w latach 70. i 80. XIX w. zmierzała polityza-

cja regionu, obejmująca także robotników.

Mniej więcej w tym czasie pierwsze grupy socjalistów pojawiły się na Śląsku Austriackim. Porażki monarchii habsburskiej na polach bitew w połowie XIX w. spowodowały liberalizację jej życia politycznego. W 1867 r. uchwalono ustawę o wolności zrzeszeń, która doprowadziła do powstania pierwszych robotniczych stowarzyszeń spożywczych i oświatowych w cieszyńskiej i opawskiej części Śląska. Na tym gruncie zasiane socjaldemokratyczne ziarno zaczęło rosnąć.

Nowe myślenie

W owym czasie w Niemczech protesty robotnicze postrzegano jako wyraz skłonności ku socjal-

demokracji do tego stopnia, że strajk górniczy w 1889 r. w „Schlesische Zeitung” określono dosadnie jako *Revolte – Rothe Fahne* („Rewolta – czerwony sztandar”)⁴. W Reichstagu 25 stycznia 1890 r. odrzucono wniosek rządu Bismarcka o przedłużenie ustaw antysocjalistycznych. Na efekty nie trzeba było długo czekać: w wyborach, które odbyły się miesiąc później, Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) zdobyła 19,7% głosów – dwukrotnie więcej niż poprzednio.

4 S. Michalkiewicz, *Rozbrzmiały się szabliska ciężkie*, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1987, s. 80.

W pruskiej części Górnego Śląska, zwłaszcza w jego przemysłowej części, władze były jednak spokojne: *Jest rzeczą pocieszającą, że okręg przemysłowy dotychczas jest wpływem socjaldemokracji zupełnie niedostępny, co należy przypisać niewątpliwie katolickiemu duchowieństwu*⁵. Podczas wspomnianych wyborów na niemieckim Górnym Śląsku socjaldemokracja otrzymała zaledwie 2% głosów.

Z niebezpieczeństwa, jakie reprezentowali socjaliści, zdawały sobie jednak sprawę środowiska katolickie. Po wyborach na łamach wydawanego przez Karola Miarkę „Katolika” w artykule pt. *Zdala od socjalnych demokratów ostrzegano: Socjaliści są wrogami państwa, bo nie chcą żadnej władzy nad sobą, chcą, aby wszyscy byli równi, a to się sprzeciwia woli Boga, który chce, aby byli niżsi i wyżsi, bogaci i biedni, panujący i poddani*⁶. Tymczasem jednak w całych Niemczech, nawet jeśli na Śląsku z opóźnieniem, jak pisał historyk Dariusz Łukasiewicz: (...) *na fali postępu i szybkich zmian zmieniali się sposób myślenia robotników, którzy nabrali przekonania, że możliwa jest zmiana ich położenia i w coraz mniejszym stopniu akceptowali niedostatek i nierówność*⁷.

Ówczesna liczebność partii robotniczych na Śląsku wprawdzie nie była porażająca, lecz należy wziąć pod uwagę fakt, że uczestnictwo w nich wymagało większego zaangażowania niż w innych siłach politycznych, a ponadto wywierały one o wiele większy wpływ czy to za pośrednictwem ruchu związkowego, czy podczas wyborów. Przykła-

5 Ibidem, s. 87.

6 „Katolik”, 25.02.1890.

7 D. Łukasiewicz, *Życie codzienne w Królestwie Prus w latach 1701–1933*, Instytut Historii PAN, Warszawa 2020, s. 586.

dowo w 1911 r. SPD na niemieckim Górnym Śląsku liczyła 1840 członków (w tym 209 kobiet), a założona w jej ramach Polska Partia Socjalistyczna zaboru pruskiego 1353 (choć działała ona też na Śląsku, który wszak nie był pod zaborami, więc takiej

Już podczas wyborów w 1898 r. socjaldemokraci największe sukcesy odnosili w typowo robotniczych osadach

nazwy ta partia używała). W tym czasie problemem była jednak duża fluktuacja kadr związana zarówno z represjami, jak i emigracją na Zachód. Regularnie od 1895 r. organizowano manifestacje i spotkania pierwszomajowe, a także rozwijał się klasowy ruch związkowy, lecz prawdziwą miarą wpływów były wyniki wyborcze. Już w 1898 r. na kandydatów socjalistycznych w rejencji opolskiej padło 25 tys. głosów, a w samym sercu przemysłowego Śląska zdobyli ich oni aż 1/3. O tym, jaka panowała wówczas atmosfera, świadczył fakt, że w noc przedwyborczą w Roźdzeniu policja czuwała przed kościołem i plebanią, *ponieważ niektórzy rozpuścili wieść, że dowiedzieli się, iż pewni ludzie zamierzają podpalić owe gmachy. Ma się rozumieć, że to był wymysł rozwścieklonych wrogów – jak ironicznie donosiła „Gazeta Robotnicza”*⁸.

Bastiony robotnicze

Rozwój polskiego ruchu narodowego przyczynił się do prze-

8 Źródłem tej plotki był pożar wywołany przez blacharza naprawiającego rynnę w katowickim kościele. Zob. „Gazeta Robotnicza”, 11.06.1898.

ściowego spadku poparcia dla lewicy. Statystyki wskazują, że największe przepływy elektoratu w zagłębiu przemysłowym miały miejsce pomiędzy listami właśnie socjaldemokratów a listami obozu polskiego. Środowiska te łączyło w większości robotnicze

pochodzenie oraz postawy kontestacyjne wobec systemu.

Największy sukces socjaldemokraci odnieśli w 1912 r., zdobywając 42 tys. głosów (14%) w rejencji opolskiej, co wynikało głównie z kryzysu polskiego ruchu narodowego w tym okresie. Władze partyjne dopatrywały się źródeł tego wyczynu przede wszystkim w postawie po raz pierwszy głosujących młodych robotników, zrażonych do obozu polskiego i do katolickiego Centrum, zaś przedstawiciele administracji główny czynnik sprawczy powodzenia socjaldemokracji widzieli w obniżeniu autorytetu kleru wśród społeczeństwa. W okręgu Katowice-Zabrze na kandydatów SPD głosowała już 1/4 wyborców, a w okręgu Bytom-Tarnowskie Góry 1/5. Mimo tych relatywnie wysokich wyników socjaldemokratom nie udało się wprowadzić żadnego deputowanego do parlamentu Rzeszy. Ruch socjalistyczny okrzepł jednak jako 3. siła polityczna regionu po Katolickiej Partii Centrum oraz polskim ruchu narodowym, przy czym do jego głównych wysp poparcia należały osiedla *stricto* robotnicze.

Warto zwrócić uwagę, gdzie socjaldemokraci odnosili największe sukcesy wyborcze. Jako przykład można podać Królewską Hutę – o ile w 1893 r. na tamtejszego kandydata socjaldemokratów padło zaledwie 96 głosów, to w 1903 r., a więc zaledwie 10 lat później, socjaldemokrata osiągnął najlepszy wynik spośród wszystkich startujących (3101 głosów). Ciekawe jest to, że już podczas wyborów w 1898 r. socjaldemokraci największe sukcesy odnosili w typowo robotniczych osadach. W niektórych obwodach Zabrze wygrali oni z kandydatami Centrum (w tym w samym Zabrze, Pawłowice i Bielszowicach), a w powiecie bytomskim zdobyli wówczas 46% głosów w Lipinach, 43% w Rozbarku i 30% w Szombierkach. Charakterystyczne, że miejscowości te w kolejnych latach zostały bastionami lewicy.

Nie taki diabeł straszny...

Łatwiejszą drogę miał przed sobą ruch socjalistyczny na Śląsku Austriackim, wyrosły na bazie pierwszych spółdzielni spożywczych i oświatowych. W 1892 r. Petr Cingr, wywodzący się ze środkowych Czech, zwołał pierwsze zgromadzenie górników w Ostrawie, po którym zorganizowano kolejne w okręgach frysztaekim, cieszyńskim i bielskim. Występowali na nich także polscy socjaliści z Krakowa. Alojzy Bonczek pisał o tym, jak Cingr przyjechał do Ostrawy, (...) *by się porozumieć z górnikami, mężami zaufania i zobaczyć się z nimi na Fifejdach. Tymczasem klerykali, dowiedziawszy się o tem, w całym rewirze z kazalniami tumanili górników w ten sposób, że ma przyjechać do rewiru strasznie zepsuty*

człowiek i poprowadzić ich ma na zgubę. Wielu górników uwierzyło w to, że patrząc na Cingra, widzą djabła przed sobą. Z obawy wielu nie chciało na przywitanie ręki podać, rozmawiając z nim tylko z daleka⁹.

Ale i to się zmieniało, o czym świadczy cytat z katolickiej „Gwiazdki Cieszyńskiej”: *Od pierwszego socjalistycznego zgromadzenia jak gdyby inny duch opanował wielu naszych górników. Nasi górnicy z bardzo małymi wyjątkami sobie zawsze statecznie i uprzejmie postępowali. Teraz wielką część górników opanował jakiś duch nienawiści, najprzód ku kościołowi, bo od tego czasu wielu górników poczyna w niedzielę*

Na bazie pierwszego Międzynarodowego Dnia Kobiet (zorganizowanego po raz pierwszy... 19 marca 1911 r.) rozwinął się także ruch na rzecz przyznania im praw wyborczych

*kościół opuszczać; potem nienawiść ku swoim kapłanom. (...) nawet przy wyborach gminnych raczej swojemu przyjacielowi, niż kapłanowi głos oddawają*¹⁰.

Na bazie dotychczasowych doświadczeń w 1901 r. w Morawskiej Ostrawie odbyło się zebranie założycielskie Unii Górników dla Moraw, Śląska i Galicji, na której przewodniczącego jednogłośnie wybrano Cingra. *Główną zasadą, która leżała u podstaw niemal całego okresu ruchu zawodowego górników, była solidarność polskich, czeskich i niemieckich robotników kopalnianych* – pisał o tamtych czasach historyk Andrzej Pilch. *Było tak pomimo rozwijającej się*

*już na pograniczu morawsko-śląskiej walki narodowościowej*¹¹. Stąd też Cingr brał udział w wydawaniu pism zarówno po czesku, po polsku, jak i po niemiecku. Przed I wojną światową i w tym regionie zaczęły jednak narastać konflikty narodowościowe, choć jeszcze o niskim natężeniu.

O równe prawa!

Najważniejszym doświadczeniem politycznym robotników na Śląsku Austriackim były masowe protesty na rzecz równych praw wyborczych będące częścią fali, która w 1905 r. przetoczyła się przez całe Austro-Węgry. Pod winietą „Robotnika Śląskiego”,

wydawanego przez Polską Partię Socjalno-Demokratyczną Galicji i Śląska Cieszyńskiego, od początku tamtego roku widniało już hasło *Precz z parlamentem przywilejów! O równe prawa wyborcze!* W drugiej połowie października w Polskiej Ostrawie manifestowało 6 tys. osób, a 29 października w Karwinie 30 tys. Jak donoszono z Orłowej, górnicy dokonywali większych zakupów w oczekiwaniu na decyzję o strajku powszechnym. Strajku w imię czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego: powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego.

Od 1 listopada potężne demonstracje przeciągały

ulicami Wiednia, Pragi, Linzu czy Triestu – a także śląskich osad górniczych. Po tym, jak uchwałą Sejmu Śląskiego w Opawie oddalono projekt wprowadzenia powszechnego prawa wyborczego również do landtagu, czyli sejmiku regionalnego, kulminacyjnym punktem walki stał się 28 listopada. Jak pisano w „Robotniku Śląskim”: *W ciągu 4 czy też 5 dni bez żadnych uprzednich przygotowań 100 tys. proletariuszy porzuciło pracę, aby wziąć udział w demonstracji*¹². Już w niedzielę 26 listopada w Karwinie demonstrowało 15 tys. osób. Zaledwie 2 dni później w rewirze śląskim, jak donosiła prasa, *bezrobocie [czyli uczestnictwo w strajku] było powszechne*. Stało się nie tylko Zagłębie Karwińsko-Ostrawskie – protesty objęły także małe miejscowości Śląska Cieszyńskiego.

2 lutego 1906 r. do Rady Państwa w Wiedniu trafił rządowy projekt reformy wyborczej polegający na zniesieniu kurii (czyli odrębnych zasad regulujących udział w wyborach różnych grup społecznych – sprzyjały one szlachcie i ogólnie elitom) oraz obniżeniu wieku wyborczego mężczyzn. W 1907 r. odbyły się pierwsze w Austro-Węgrzech wolne wybory, niestety wyłącznie „męskie”. Socjalni demokraci otrzymali na Śląsku Austriackim aż 51% głosów i 4 na 7 miejsc w parlamencie. W górniczym „czerwonym” Zagłębiu, od Ostrawy po Karwinę, zdobyli oni od 70 do 86% głosów. Wydarzenia austriackie miały też wpływ na niemiecki Górny Śląsk, w którym tamtejsi socjaldemokraci również podjęli działania na rzecz demokratyza-

cji praw wyborczych w samych Prusach, gdyż w wyborach do tamtejszego landtagu utrzymano (w przeciwieństwie do wyborów ogólnoniemieckich do Reichstagu) system kurialny, zależny od posiadanego majątku.

Co więcej, na bazie pierwszego Międzynarodowego Dnia Kobiet (zorganizowanego po raz pierwszy... 19 marca 1911 r.) rozwinął się także ruch na rzecz przyznania im praw wyborczych. „Robotnik Śląski” pisał na pierwszej stronie: *Dzień 19 marca będzie dniem kobiet. Dnia tego kobiety pracujące w całym państwie upominają się o swe prawa. Domagać się będą, aby kobietę zrównano w prawach z mężczyzną; aby dopuszczono ją do sprawowania urzędów publicznych; aby przyznano jej prawo wyborcze do gmin, sejmów i parlamentu. Drwinami przywitają nasze żądania partje burżuazyjne i klerykałne, ci wrogowie robotnika i robotnicy. Jeszcze raz powtórzą obłudnie, iż zajęcie się gospodarstwem domowym zapewni kobiecie szczęście i spokój*¹³.

Klucz do sukcesu

Podsumowując ten okres, warto się zastanowić, dlaczego socjaldemokraci udało się zdominować robotniczy świat zarówno w austriackiej, zróżnicowanej narodowościowo części Górnośląska, jak i równie szybko uprzemysławianej części pruskiej. Wydaje się, że decydującą rolę odgrywała w tym przypadku bardziej demokratyczna struktura Austro-Węgier umożliwiająca artykułowanie żądań, wybór przedstawicieli czy prowadzenie propagandy przez robotników bez narażania się na represje

tak uciążliwe, jak po niemieckiej stronie. Na Śląsku Austriackim byli polscy dyrektorzy i urzędnicy, którzy nie musieli się kryć ze swą narodowością, toteż nie można było przykładać klasowej miary na narodowe podziały. Jak pisał profesor Jan Walczak: *We względnie liberalnych warunkach monarchii habsburskiej kwestia narodowa nie jawiła się z taką ostrością jak na niemieckim Górnym Śląsku. Wczesna klasowość robotników na Śląsku Cieszyńskim przybrała więc, pod wpływem całokształtu warunków bytowych, klasyczną niejako postać prostej negacji narodowości utożsamianej z dominacją klas posiadających. Jej pochodną był internacjonalizm, który można nazwać żywiołowym lub prymitywnym. Dopóki na czoło wysuwały się sprawy elementarne, tj. organizowanie i oświecenie klasy robotniczej w duchu socjalistycznym, socjaliści wszystkich narodowości szli ręką w rękę*¹⁴.

Warto jednak podkreślić, że w przypadku obydwu części Górnośląska kluczem do sukcesu wyborczego ruchu robotniczego było ostatecznie zarówno zakorzenienie (dzięki protestom i działalności oddolnej) w środowiskach pracowniczych, znaczące grono oddanych działaczy (i lokalnych, i przyjezdnych), jak i prezentowany system wartości, który pragmatyczne hasła (np. w sprawie podatków, przeciwko drożyznie czy wojnie) łączył z mesjanistyczną wizją innego świata, utopii mobilizującej. W przeciągu zaledwie kilku dekad było to ogromne dokonanie, choć jeszcze pod koniec XIX w. ruchowi temu nie wróżono żadnego sukcesu. ♦

Adrianna Zipper

Na wirtualnym polu walki, czyli rosyjska wojna informacyjna

Choć wiedza o wojnie informacyjnej, operacjach wpływu i trollingu w mediach społecznościowych prowadzonych przez Rosję jest powszechna, wielu z nas nadal nie zdaje sobie sprawy ze skali zjawiska i jego konsekwencji. Jak Rosji udaje się oddziaływać na opinię publiczną w państwach zachodnich? Jak bronić się przed szerszą dezinformacją?

Metody rosyjskiej gry dezinformacyjnej

Rosyjski szef sztabu generalnego Walerij Gierasimow w 2013 r. stwierdził, że pozamilitarne środki prowadzenia konfliktu w wielu przypadkach mogą być skuteczniejsze od siły militarnej. Zaproponował on stosowanie ich do podważania legitymacji rządu państwa docelowego w oczach jego ludności. Takie metody wymierzone są zarówno w populację, jak i w procesy decyzyjne. Kampanie w ramach wojny hybrydowej, tj. prowadzonej poprzez niekonwencjonalne środki, bez użycia siły militarnej, obejmują rozmaite formy dezinformacji czy propagandę, mające na celu kształtowanie przekonań ludności wybranego państwa. Elementem definiującym wojnę hybrydową jest skoncentrowanie się na aspektach psychologicznych oraz kulturowych w spo-

9 A. Bonczek, *Przyczynki do historii rozwoju górnictwa i ruchu górniczego na Śląsku, Górnik, Morawska Ostrawa 1911, s. 29.*

10 „Gwiazdka Cieszyńska”, 18.08.1894.

11 A. Pilch, *Związki zawodowe na Śląsku Cieszyńskim przed pierwszą wojną światową*, Wydawnictwo Związkowe CRZZ, Warszawa 1966, s. 127.

12 „Robotnik Śląski”, 8.12.1905.

13 „Robotnik Śląski”, 17.03.1911.

14 J. Walczak, *Miejsce klasy robotniczej i drogi rozwojowe ruchu robotniczego na Śląsku w dobie kapitalizmu*, „Studia Śląskie” 1986, t. 44, s. 64.

czeństwie przeciwnika. Dzieje się to niekonięcznie w tym samym czasie, co działania wymierzone w politykę i gospodarkę. W wojnie hybrydowej za cel obiera się przede wszystkim ludność danego kraju.

Rosyjska dezinformacja nie zawsze dąży do szerzenia nieprawdy, lecz czasem do podsycania już istniejących konfliktów w danym społeczeństwie, co prowadzi szczególnie osoby do radykalizacji własnych przekonań, a czasem nawet do

Kampania dezinformacyjna podczas wyborów amerykańskich w 2016 r. była pierwszą tak ogromną akcją Rosji. Planowano ją na długo przed głosowaniem

przemocy fizycznej. Wysiłki te niekonięcznie skupiają się na jednej stronie w sporze, lecz wspierają obie skonfliktowane grupy, by doprowadzić do większych napięć. Dodatkowo Rosja zanieczyszcza dyskurs w kraju docelowym tak, aby wzbudzić wątpliwości co do obiektywnych faktów. Do tego celu używa fake newsów, często rozpowszechnianych przez tzw. trolle. Współczesny troll internetowy to anonimowa osoba, której celem jest wywołanie emocji u odbiorców poprzez propagowanie kontrowersyjnych treści w odpowiednim momencie. Troll ma na celu wprowadzanie do szerszej dyskusji perswazyjnych opinii w nadziei na zmianę kierunku myślenia odbiorców. Należy zaznaczyć, że jego opinie rzadko są oparte na faktach. Federacja Rosyjska w dziedzinie trollingu prowadzi niemal instytucjonalną działalność, a jej podstawą jest Agencja Badań Internetowych

(ang. *Internet Research Agency*, IRA) w Sankt Petersburgu, znana również jako „trolle z Olgino” czy „rosyjska farma trolli”. Wydaje się, że jej najistotniejszym zadaniem jest destabilizacja europejskiej opinii publicznej i manipulowanie nią.

Cele rosyjskiej dezinformacji osiągane są nie tylko przy pomocy mediów społecznościowych. Rosja rozciąga ją bowiem także na własne społeczeństwo za pośrednictwem kontrolowanych przez państwo mediów,

aby wzbudzić wątpliwości co do konkretnego wydarzenia. Wykorzystywała je np. do legitymizacji aneksji Krymu w 2014 r.

Największa rosyjska kampania dezinformacyjna

Rosyjskiej strategii propagandowej rozgłos nadała operacja dezinformacyjna podczas amerykańskich wyborów w 2016 r. Choć jej wpływ na ich wynik często jest przeceniany, była to jedna z najszerzej zakrojonych kampanii propagandowych przeprowadzonych w internecie. Innowacją, która poruszyła wyobraźnię naukowców, prokuratorów, urzędników ds. bezpieczeństwa narodowego i komentatorów, było intensywne wykorzystywanie przez Rosję farm trolli. Podatność Stanów Zjednoczonych na tego typu zjawiska została ujawniona na długo przed samą kampanią. Pisarka Renée DiResta w zeznaniach

przed Kongresem opowiedziała, jak w 2014 r. ISIS rozpoczęło szeroko zakrojoną działalność w mediach społecznościowych, mającą na celu wpływać na opinię publiczną w USA i w innych krajach.

Kampania dezinformacyjna podczas wyborów amerykańskich w 2016 r. była pierwszą tak ogromną akcją Rosji. Planowano ją na długo przed głosowaniem. W ramach gromadzenia danych wywiadowczych trolle IRA podawały się za amerykańskich wolontariuszy politycznych, aby zdobyć informacje na temat tego, jak skutecznie wpływać na amerykańskich wyborców, a 2 pracowników w ramach tych działań podróżowało nawet do Stanów Zjednoczonych. Podczas akcji gromadzenia danych teksański wolontariusz w internetowej dyskusji poinformował pracownika IRA, że kampania musi być skierowana do tzw. *swing states*, czyli takich, w których szanse kandydatów na wygraną są wyrównane, ponieważ to właśnie w nich głosowanie będzie najbardziej napięte.

W mediach społecznościowych stworzono konta fikcyjnych organizacji, takich jak: *Secure Borders* (skupiającej się na szerzeniu narracji antyimigracyjnych), *Blacktivist* (skoncentrowanej wokół ruchu *Black Lives Matter*) czy *South United Heart of Texas* (działającej w ramach konkretnego stanu, w tym przypadku Teksasu). Do tematów poruszanych przez trolle najczęściej należały np. *Black Lives Matter*, propolicyjność, imigracja, społeczność LGBT+, problemy weteranów wojennych czy prawo do posiadania broni. Należy wspomnieć, że produkowane treści, chociaż w większej

części konserwatywne, były zróżnicowane i zdarzały się konta jednoznacznie promujące treści progresywne. Nietrudno zauważyć, że są to tematy najsilniej dzielące społeczeństwo w Stanach Zjednoczonych. Tym samym wykorzystywano istniejące już konflikty i kryzysy, a nie tworzone nowych.

IRA kupowała miejsce na amerykańskich serwerach za pomocą skradzionych tożsamości z kont PayPal i innych dostawców usług płatności cyfrowych. Trolle tworzyły fałszywe dokumenty identyfikacyjne i funkcjonowały na platformach społecznościowych pod tymi przybranymi tożsamościami. Główna kampania rozpoczęła się 6 kwietnia 2016 r. i trwała do wyborów w listopadzie 2016 r. Obejmowała ona kupowanie reklam w social mediach, organizowanie wieców online i rozpowszechnianie hashtagów. W okresie bezpośrednio poprzedzającym wybory IRA wykorzystywała popularność niektórych swoich kont i zorganizowała nawet rzeczywiste wiece w kilku stanach USA. W części przypadków trolle zachęcały aktywistów obu stron sporu do konfrontacji, tworząc w ten sposób potencjalnie wybuchowe spotkania, które łatwo dotarłyby do mediów głównego nurtu i wpłynęły na ówczesne dyskusje wokół wyborów¹.

Wojna informacyjna z Ukrainą

Rosyjskie wysiłki związane z dezinformacją dotyczącą Ukrainy, choć zintensyfikowały się po 2014 r., zaczęły się już dużo wcześniej. Niektóre tematy

¹ S. McCombie, A. J. Uhlmann, S. Morrison, *The US 2016 presidential election & Russia's troll farms*, „Intelligence and National Security”, 1/2019, s. 95-114.

Rosyjska dezinformacja nie zawsze dąży do szerzenia nieprawdy, lecz czasem do podsycania już istniejących konfliktów w danym społeczeństwie

powtarzane przez propagandę podczas wojny w Donbasie – np. faszyzm wśród prozachodnich środowisk politycznych Ukrainy – sięgają co najmniej lat 90. Najbardziej interesujące są jednak próby destabilizacji Ukrainy od czasu odsunięcia Wiktora Janukowycza do teraz.

Protesty na Euromajdanie i zmuszenie prezydenta do rezygnacji z urzędu zapoczątkowały serię wydarzeń, których kulminacją była aneksja Krymu przez Rosję i długotrwały kryzys związany ze wspieranymi przez Kreml separatystami na wschodzie Ukrainy. W trakcie całego konfliktu Rosja intensywnie wykorzystywała dezinformację i nieprzerwanie robi to do dzisiaj. Działania te miały 3 cele: (1) zdyskredytowanie nowego ukraińskiego rządu na arenie

międzynarodowej, (2) usprawiedliwienie działań na Krymie i (3) osłabienie międzynarodowej reakcji na rozwijający się konflikt. Wysiłki te obejmowały materiały, które przedstawiały upadek Janukowycza jako nielegalny zamach stanu (lub „faszystowską juntę”), Poroszenkę jako skorumpowanego i bezprawnego prezydenta oraz Ukrainę jako państwo upadłe, ale także bardziej ekstremalne fake newsy, które próbowały łączyć Ukrainę z Państwem Islamskim.

Dezinformacja wokół pełnowymiarowej rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 r. oznaczała eskalację długotrwałych operacji informacyjnych przeciwko temu państwu. Przeszła ona drogę od propagandy i rewizjonizmu historycznego – np. twierdzeń, że Krym „był

zawsze rosyjski” – do fałszywych sugestii o zinfiltrowaniu ukraińskiego rządu przez neonazistów i teorii spiskowych o istnieniu ukraińsko-amerykańskich laboratoriów broni biologicznej. Wiele źródeł medialnych podaje, że konta na TikToku z dużą liczbą obserwujących były opłacane za wzmocnienie prorosyjskich narracji². Przed 24 lutego dezinformacja miała na celu demoralizację Ukraińców, stworzenie podziałów między Ukrainą a jej sojusznikami oraz poprawę wizerunku Rosji na arenie międzynarodowej.

Wiele fake newsów stworzonych przez rosyjskie trolle rozpoznało się także w Polsce.

² M. Kiparoidze, *TikTok influencers are dancing, lip-syncing, and posing to promote Russia's war in Ukraine*, <https://www.codastory.com/disinformation/tiktok-influencers-are-dancing-lip-syncing-and-posing-to-promote-russias-war-in-ukraine/> [dostęp: 7.06.2023].

Największą popularność zyskały kłamstwa, jakoby masakra cywilów w Buczy w pierwszym miesiącu wojny została zainscenizowana, Ukraina sfingowała atak na szpital w Mariupolu 9 marca 2022 r., a rosyjskojęzyczni obywatele Donbasu byli ofiarami ludobójstwa. Rosyjska kampania w Polsce skupia się także na podsycaniu podziałów pomiędzy ukraińskimi imigrantami a Polakami. Wspiera ona narracje o Ukraińcach zabierających Polakom pracę i żyjących na koszt naszego państwa, a także o ich rzekomej roszczeniowości. W krajach zachodnich z kolei jedną z najpopularniejszych taktyk rosyjskich trolli jest rozpowszechnianie materiałów z dyskotek i klubów, w których (rzekomo) Ukraińcy dobrze się bawią, z podpisami umniejszającymi tragedii, jaką jest wojna.

Walka z dezinformacją

Trolling internetowy tworzący dezinformację oraz wpływanie na opinię publiczną w innych państwach poprzez media społecznościowe to stosunkowo nowa metoda walki politycznej. Wiele rządów szybko rozpoczęło opracowywanie strategii na zwalczanie tego zjawiska. Władze Niemiec, Hiszpanii czy Litwy wspierają organizacje tzw. factcheckingowe, które mają za zadanie weryfikować informacje pojawiające się w internecie. Działają one aktywnie np. na Twitterze, gdzie do postów użytkownicy mogą dodawać notatki weryfikujące prawdziwość podawanych przez siebie informacji. Dodatkowo w czerwcu 2018 r. Rada Europejska powierzyła Wysokiemu Przedstawicielowi

Unii do Spraw Zagranicznych i Polityki Bezpieczeństwa oraz Komisji Europejskiej zadanie przedstawienia do grudnia 2018 r. we współpracy z innymi państwami planu działania na rzecz skoordynowanej reakcji na dezinformację. W tym planie na uwagę zasługuje utworzony w marcu 2019 r. system wczesnego ostrzegania (RAS) w celu zapewnienia natychmiastowej reakcji na kampanie dezinformacyjne za pośrednictwem specjalnej infrastruktury technologicznej oraz wymiany informacji między państwami członkowskimi a Unią.

Na tym polu aktywne jest również NATO, które uruchomiło programy analizujące przestrzeń informacyjną (np. Setting the Record Straight). Ich zadaniem jest wykrywanie trendów w dezinformacji oraz szybsze reagowanie i opracowywanie kontruujących ją treści. Niewątpliwie jednym z kluczowych elementów walki z fake newsami jest też współpraca rządów z portalami społecznościowymi.

Kontrowersje wzbudza pojawiający się od pewnego czasu pomysł wprowadzenia kar za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji. Czym tak naprawdę jest bowiem fake news? Czy może nim być wyrażanie swoich przekonań na jakiś temat, jeśli osoba, która nas sędzi, się z nami nie zgadza? Karanie za poglądy niezgodne z wyrażanymi przez rząd czy nawet przez większość społeczeństwa to praktyka bliska systemom autorytarnym i może być łatwo wykorzystana przeciwko oponentom politycznym. Żyjemy w krajach demokratycznych, nigdy jednak nie wiemy,

czy wyborów nie wygra ktoś na tyle żądny władzy, by bez wysiłku wykorzystać takie kary do uciszania przeciwników. Robi to zresztą władza w samej Rosji – pozbawianie wolności za krytykę działań armii (np. popełnianie przez nią zbrodnie wojenne) odbywa się właśnie pod pretekstem m.in. „zwalczania fake newsów”.

Problemem w walce z dezinformacją jest spadek zaufania społeczeństwa do dziennikarzy. Ile razy podczas rozmów przy rodzinnym stole słyszeliśmy, że nasza mama czy tata nie wierzą konkretnemu dziennikowi, stacji telewizyjnej czy portalowi informacyjnemu? Jeśli nie ufamy większości źródeł, weryfikacja informacji staje się niemożliwa. Do walki z dezinformacją potrzebne są rzetelne media i dziennikarze, którzy nie gonią za sensacją i skandalem, lecz skupiają się na obiektywnej informacji. Niestety tego rodzaju media funkcjonują coraz rzadziej.

Nadzieja na zmianę

Dezinformacja zalewa świat w nadzwyczajnym tempie, a społeczeństwo, przynajmniej na razie, ma niewiele narzędzi do obrony. To pokłosie powszechnego braku wiarygodności współczesnych mediów oraz dziennikarskiej pogoni za liczbą wyświetleń. Nadzieję dają skoordynowane na szczeblu międzynarodowym działania poszczególnych państw i ich współpraca z portalami społecznościowymi. Zaangażowanie rządów i organizacji pozarządowych dają szansę, że metody skutecznej walki z fake newsami już niedługo staną się rzeczywistością. ♦



Il. Paweł Mitech za pomocą AI

Agnieszka Lamek-Kochanowska

Wyberzmy się po książki

Wiosną 2023 r. Biblioteka Narodowa opublikowała wyniki badań o stanie czytelnictwa w Polsce. Wynika z nich, że w kraju nad Wisłą utrzymuje się ono na stałym poziomie – większość Polaków nie widzi potrzeby sięgania po książki. Dobra wiadomość jest taka, że młodzież po przerwie spowodowanej pandemią wróciła do swoich czytelnictw praktyk i w tej grupie wiekowej odnotowano wzrost intensywnego czytania.

Z tych samych badań dowiedzieliśmy się, że co najmniej jedną książkę przeczytało 34% badanych Polaków w wieku nie mniej niż 15 lat. W raporcie odnotowano także, że liczba czytelników (książek papierowych i elektronicznych) nie zmieniła się diametralnie od 2015 r.

Po delikatnym wzroście, jaki nastąpił w okresie pandemii, wyniki powróciły do stanu sprzed 2 lat. Książki czytają przede wszystkim absolwenci szkół wyższych (58%), a także osoby uczące się (72%), a więc te, które stosunkowo dużo czasu spędzają przed komputerem, tabletem czy smartfonem.

Kobiety czytają częściej niż mężczyźni (odpowiednio: 42% i 26%). Najmniej osób deklarujących czytanie jest w najstarszej grupie wiekowej, zwłaszcza po 70. roku życia (jedynie 8%). *Najwięcej czytelników mieszka w największych miastach, najmniej*

natomiast na wsi i w niewielkich miastach – czytamy w raporcie¹.

Badania pokazały również wzrost zainteresowania książkami wśród osób w wieku 15–18 lat. Czytanie deklaruje 72% z nich, a 18% to czytelnicy intensywni, którzy w ciągu roku sięgnęli po co najmniej 7 książek. Oznacza to duży wzrost, bo aż o 5% w porównaniu do poprzednich badań czytelnictwa wśród młodzieży szkolnej.

Jak wypadamy na tle Europy?

Dzięki indeksowi NOP World Culture Score mamy pogląd na to, jak Polska wypada na tle innych krajów i gdzie czyta się najwięcej. Według danych z 2017 r. Polacy spędzali średnio 6,5 godzin tygodniowo na lekturze, co dało nam 13. miejsce na świe-

Dyrektor Biblioteki Narodowej Tomasz Makowski uważa, że książki czyta nieco więcej Polaków, niż wskazują badania, choć odsetek ten mógłby być jeszcze wyższy, gdyby nie zniszczenia wojenne oraz utraty bibliotek oraz księgozbiorów prywatnych i publicznych

cie. Pierwsze zajęły Indie (ponad 10 godzin), a kolejne Tajlandia i Chiny. W Europie wyprzedzają nas Czesi, Francuzi, Szwedzi i Węgrzy.

Wśród europejskich czytelników niezaprzeczalny prym wiodą nasi sąsiedzi z Czech, gdzie czyta blisko 80% osób powyżej 15. roku życia, a przeciętne gospodarstwo domowe ma księgozbiór liczący 253 książki. Aż 40% dorosłych

Czechów czyta 7 i więcej książek rocznie (w Polsce to 7%).

Znany czechofil i reportażysta Mariusz Szczygieł pisał, że *kiedy w Czechach mówi się o czytelnictwie, często pada słowo, którego nie mamy w Polsce, a które stanowi dowód, jak czytanie książek jest w tej kulturze ważne. Słowo to brzmi: „knihomil”. To człowiek, który „miluje knihy”².*

Nieco lepiej Polacy wypadają na tle mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Z badania z 2022 r. wynika, że aż 52% Amerykanów w ogóle nie sięgnęło po książkę.

Polacy nie czytają! Co z nami nie tak?

W reakcji na raport o stanie czytelnictwa w Polsce w mediach tradycyjnych i społeczno-

wyższy, gdyby nie zniszczenia wojenne oraz utraty bibliotek oraz księgozbiorów prywatnych i publicznych: *Po 1945 r. artykułem pierwszej potrzeby nie były książki, tylko postawienie dachu i wstawienie okien. Ileś lat nadrabialiśmy podstawowe zaległości – mówi w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”³. Wiele osób czytających książki spotykam choćby w metrze, to pomaga w rozwoju czytelnictwa książek, bo czytanie jest praktyką społeczną i ludzie kopiują zachowania, które widzą w przestrzeni publicznej – dodaje.*

Wydaje się, że wyrazem tej praktyki są również biblioteczki

³ G. Wysocki, Tomasz Makowski, dyrektor Biblioteki Narodowej: Nie chcę, by kroil mnie chirurg, który nie czyta książek, <https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,27302067,tomasz-makowski-nie-chce-by-kroil-mnie-chirurg-ktory-nie.html> [dostęp: 20.06.2023].

powstające w kawiarniach, pomieszczeniach rad osiedli i innych miejscach publicznych w duchu „życia w towarzystwie książek”. Jak mówi Ryszard Koziołek, polski literaturoznawca i pisarz, dobrze jest mieć w domu biblioteczkę, ale jeśli jej nie mamy, to książki trzeba rozsiać wokół siebie – nie tylko w mieszkaniu, bo sięganiu po lekturę sprzyja wygoda.

Przyczyn niskiego poziomu czytelnictwa gdzie indziej upatruje publicysta Edwin Bendyk. Na swoim blogu na stronie „Polityki” pisze, że *czytanie książek jest w Polsce praktyką inteligentką, ma charakter dystyngowany, a nie włączający. Nie udało się w Polsce na żadnym etapie rozwoju naszego*

społeczeństwa uczynić z czytania książek praktyki demokratycznej, przez swą powszechność służącej integracji nowoczesnej wspólnoty. (...) Ze względu na ciągle wyjątkowy status inteligencji w Polsce i jej dominację w przestrzeni polityki (obie najważniejsze partie polityczne, PiS i PO, mają inteligentki rodowód i rdzeń), co opisuje m.in. Tomasz Zarycki, książka i jej społeczny status w Polsce ma istotne znaczenie polityczne. Ciągłe odtwarzamy de facto feudalną strukturę społeczno-polityczną, w której klasa warstwa dominująca odtwarza swoją pozycję przez mechanizm dziedziczenia (w tym przypadku ekskluzywnej praktyki kulturowej)⁴.

⁴ E. Bendyk, Wspólnota nieczytania, <https://antymatrix.blog.polityka.pl/2023/04/25/wspolnota-nieczytania> [dostęp: 20.06.2023].



Il.: Agnieszka Lamek-Kochanowska, wnętrze kawiarni Stara Szkoła w Sokółce

¹ r. Chymkowski, Z. Zasacka, Stan czytelnictwa książek w Polsce w 2022 roku, <https://bn.org.pl/download/document/1682012775.pdf> [dostęp: 20.06.2023].

² M. Szczygieł, Jak czytają Czechy, <https://wyborcza.pl/7,75410,9246691,jak-czytaja-czechy.html> [dostęp: 20.06.2023].

Choć lubimy powoływać się na dobre nawyki czytelnicze wśród Czechów, trzeba pamiętać, że ich historia potoczyła się inaczej niż nasza. Jeszcze w czasach monarchii habsburskiej język czeski dominował głównie na wsi (dzięki niej przetrwał), a na dodatek już w połowie XIX w. obywatele monarchii byli objęci systemem powszechnej edukacji. Oznacza to, że w wiek XX weszli oni niemalże bez analfabetyzmu, z którym Polacy rozprawili się dopiero po II wojnie światowej. Czeskie miasta i wsie nie zostały również zniszczone podczas wojny.

Przez cały XX w. umiejętność czytania i rozumienia literatury była warunkiem emancypacji, awansu społecznego oraz zdolności do prowadzenia publicznej rozmowy i zabierania głosu przez obywateli i obywatelki

Kiedy Czesi piszą o swoim czytelnictwie, podkreślają, że są mistrzami w dziedzinie bibliotek domowych i że wiele domów ma trzypokoleniowe biblioteki (średnia liczba książek w czeskim domu to 246, tylko 2 proc. Czechów nie ma w domu żadnej książki). Dziś co drugi Czech korzysta z biblioteki publicznej, bo książki w ostatnich latach bardzo drożeją. (...) w nowo powstałej Czechosłowacji ustawa o bibliotekach publicznych była jedną z pierwszych, nad którą pracowano, i została uchwalona już latem 1919 roku, w Polsce projektów takiej ustawy powstało kilka. Żadna nie została uchwalona – opowiada cytowany już Mariusz Szczygieł.

To pokazuje wyraźnie, że książka w różnych społeczeństwach może pełnić różne funkcje. W Polsce, jak twierdzi

Bendyk, ważniejsze niż tworzenie wspólnego kodu kulturowego w oparciu o czytanie i rozmowę o tym, co dla obywateli wartościowe, jest tworzenie dystynkcji, a książka stanowi jeden z atrybutów odrębności klasowej „inteligencji”.

Na co to czytanie książek?

Powszechnie uważa się, że dom bez książek nie wychowa przyszłego czytelnika. Tomasz Makowski mówi: *Jeśli nie widziałem w dzieciństwie czytającego dorosłego, wraz z ukończeniem szkoły porzucę czytanie (...)* *Czytamy nie tylko*

dla rozwoju samych siebie, dla edukacji, ale też dla przyjemności, pozbycia się stresu, ucieczki od ciężaru obowiązków. Czytanie uspokaja. W przeciwieństwie do prasy książki nie koncentrują się na złych wiadomościach. Czytelnik jest bardziej świadom alternatywnych zachowań, cudzych doświadczeń, innych punktów widzenia, swoich i cudzych ograniczeń, mniej boi się przyszłości, częściej chodzi do lekarza i na wybory.

Czytelnicy, zwłaszcza osoby samotne, dzięki książkom czy chodzeniu do biblioteki nie są ograniczeni jedynie do swojego doświadczenia. Wraz z wiekiem, po przejściu na emeryturę, gdy liczba znajomych i zajęć maleje, to właśnie czytanie i doświadczanie odmiennych perspektyw pozwalają żyć. Lektura poszerza wewnętrzne poczucie wolności

i daje możliwość zawędrowania tam, gdzie człowiek nigdy by nie zawędrował, a także odkrywania miejsc i poznania ludzi, których w żaden inny sposób by nie poznał. Ponadto, jak twierdzi Makowski: *Czytanie po prostu niweluje nierówności społeczne. (...) Ciężko to zrozumieć komuś, kto wywodzi się z domu, w którym jest mnóstwo książek, a wysoko będzie to cenił ktoś, kto zna na przykład przypadki awansu społecznego od wsi do profesury. Znam ludzi, którzy nigdy nie poszliby na filologię klasyczną, gdyby bibliotekarka nie powiedziała, że był ktoś taki jak Ciceron, i nie podsunęła odpowiedniej lektury. Ktoś, kto wychowuje się w środowisku, w którym rozmawia się o książkach, może tego nie zrozumieć. (...) Dlatego tak ważna jest rola bibliotek publicznych. Żeby utalentowane i ambitne dzieci, które nie wynoszą z domu kapitału społecznego, miały gdzie to nadrabiać.*

Taki właśnie był mój dom

Mój dom rodzinny nie miał tradycji inteligenckich, miał natomiast doświadczenie awansu społecznego. Babcia nie potrafiła czytać i pisać, moi rodzice dorastali po wojnie i zdali maturę, a moja siostra i ja skończyłyśmy studia na uniwersytecie.

W domu nie było zbyt wiele książek i literatury – głównie podręczniki szkolne rodziców, książki podarowane lub przypadkowo kupione, bajki, dużo codziennej prasy i kolorowych czasopism oraz wspaniała 4-tomowa *Encyklopedia PWN*. Na półce za przesuwanymi szklanymi drzwiczkami obok kryształu z cukierkami leżały atlas świata oraz mapy samochodowe. Urodziłam się w rodzinie samouków.

Rodzice nie czytali książek ani też nie bywali w miejscach, gdzie się o nich rozmawia. Pomimo tego byli świetnie zorientowani w epoce, w której żyli. Ja po książki sięgnęłam z nudów i samotności podczas choroby. Zrobiłam to tylko dlatego, że stały na półce. Dopiero w kolejnych latach wszystkie szkoły i instytucje publiczne dbały o to, abym miała z nimi kontakt.

Ilu z nas podobną historię uzna za swoją?

Czytanie pomaga żyć wśród innych ludzi

Przez cały XX w. umiejętność czytania i rozumienia literatury była warunkiem emancypacji, awansu społecznego oraz zdolności do prowadzenia publicznej rozmowy i zabierania głosu przez obywateli i obywatelki. Demokracja wymaga wspólnego życia i debatowania z tymi, którzy niekoniecznie są w grupie naszych przyjaciół. Polityka polega na szukaniu sposobów współdziałania z ludźmi, z którymi nie zawsze łączą nas bliskie więzi.

Dobrym przykładem takiego rozumienia czytania jest Kawiarnia Filozoficzna – forum dyskusyjne działające także w Bielsku-Białej, podczas którego w atmosferze relaksu, pijąc kawę, porusza się nurtujące uczestników rozmowy tematy. W tym samym celu organizowane są spotkania otwarte w Teatrze Tekstu im. Teodora Sixta, w trakcie których czyta się teksty dramaturgów i dramaturżek. Zainicjował je bielski scenarzysta Artur Pałyga. Inicjatywy te są dowodem na to, jak czytanie i dyskusja mogą uczyć wspólnego działania na rzecz wspólnego dobra.

Bo temu służy czytanie! ♦

Barbara Słania

Wybieram wybory

Jesienią czekają nas znowu wybory parlamentarne. Dla niewielkiej części społeczeństwa obserwowanie tego politycznego spektaklu jest ciekawą rozrywką, dla większości przede wszystkim spełnieniem obywatelskiego obowiązku. Sporo ludzi w Polsce w ogóle nie wybiera się, by wrzucić kartę ze swoim głosem do urny wyborczej. Ta niepokojąco duża grupa, która nie głosuje, uzasadnia to najczęściej przy pomocy kilku argumentów. Przyjrzyjmy się im po kolei.

Argument I. „Mnie to nie interesuje”

Można się nie interesować wieloma rzeczami, można więc i polityką. Jeśli wśród naszych zainteresowań nie ma np. gry w *boule*, to możliwe, że nigdy nawet nie usłyszymy o jej istnieniu. Problem w tym, że polityka

wią, że ostatni autobus na nasze odludzie więcej nie pojedzie, a szkoła, nawet niepubliczna, będzie zmuszała nasze dzieci do wkuwania życiorysów Jana Pawła II czy żołnierzy wyklętych.

Nie musimy fascynować się polityką, oglądać medialnych pojedynków i przedwyborczych debat czy śledzić z zapartym tchem kolejnych wymian ciętych ripost na Twitterze. Nie o to w tym chodzi – polityka jest zawodem i pasją dla nielicznych. Ważne jest, byśmy pamiętali, że nie rezygnując z głosowania, zdajemy się na wybory innych. Mało komu znajomemu bylibyśmy skłonni pożyczyć samochód na kilka godzin, więc tym bardziej nie oddawajmy zupełnie obcym decyzji o tym, kto będzie rządził naszym krajem przez kilka najbliższych lat.

Argument II. „Nikt nas nie reprezentuje”

No dobrze, nawet byśmy na te wybory poszli, ale nie ma na kogo głosować – to zdanie często się słyszy. Warto jednak zadać sobie pytanie, czy na pewno

To polityczne wybory innych sprawią, że ostatni autobus na nasze odludzie więcej nie pojedzie, a szkoła, nawet niepubliczna, będzie zmuszała nasze dzieci do wkuwania życiorysów Jana Pawła II czy żołnierzy wyklętych.

nie pyta, czy my się nią interesujemy, tylko – w przeciwieństwie do *boule* – wchodzi z butami w nasze życie. Nie da się od niej odciąć, rzucić wszystkiego i zamieszkać w Bieszczadach. Polityka znajdzie nas i tam. To polityczne wybory innych spr-

robimy cokolwiek, żebyśmy byli reprezentowani. Rytuał narzekanie na beznadziejnych polityków niczego nie zmienia, tylko utwierdza w przekonaniu, że wybory są pozbawione sensu.

Polski system wyborczy ma masę wad, nie ma co ukrywać.

Nie możemy sobie wystartować ot tak, „z ulicy” w wyborach do Sejmu z uwagi na skomplikowaną ordynację wyborczą. Uczestnictwo w wyborach nie musi jednak od razu oznaczać kandydowania. Zaczniemy od rozważenia wzięcia w nich udziału w roli wyborców.

Zanim skreślimy wszystkich kandydujących i zdecydujemy się nie skreślać żadnego krzyżyka na liście wyborczej, przyjrzyjmy się, kto i z jakiego komitetu kandyduje. Może akurat nasza polonistka z liceum lub mama koleżanki z pracy?

A nawet jeśli wszystkie nazwiska na listach są obce i dalej wydaje się nam, że żaden komitet nie odzwierciedla naszych poglądów, może jednak sprawdzimy w jakimś latarniku wyborczym, czy na pewno tak jest. I czy nie lepiej wybrać komitet lub kandydata, do którego nam bliżej, niż zdać się na innych? Czy na pewno chcemy, by nami i naszymi ciałami dalej rządili panowie po 50? Ale bądźmy nieufni i upewnijmy się, czy aby na pewno ten miły i elokwentny pan Sławek, mówiący tak ciekawie o gospodarce, nie chciałby wyprowadzić nas z Europy, po drodze zabraniając rozwodów i wprowadzając kary cielesne.

Argument III. „Wybory niczego nie zmieniają”

Z jednej strony wśród sporej części elektoratu wyraźne jest oczekiwanie, że skutek wyborów nastąpi zmiana w sensie politycznym. Z drugiej jednak nikt nie spodziewa się rewolucji zaraz po ogłoszeniu wyników. Dzień po wyborach obudzimy się w takiej samej Polsce, z tymi samymi problemami co wcze-

śniej: wojną za naszą wschodnią granicą, smogiem, drożyzną. Nowe rządy, jeśli nastąpią, magicznie nie stłumią inflacji ani nie naprawią szkolnictwa, nie przywrócą praworządności, przynajmniej nie z dnia na dzień. Większość zmian wprowadzanych aktami prawnymi ma charakter systemowy i byłoby naiwnością sądzić, że dokonują się natychmiast.

Nie da się ustawać zakazać biedy, ale można wprowadzić

Rytualne narzekanie na beznadziejnych polityków niczego nie zmienia, tylko utwierdza w przekonaniu, że wybory są pozbawione sensu

mechanizmy gwarantujące sprawiedliwszą redystrybucję lub uprościć system podatkowy. Można wyprowadzić religię ze szkół czy zamiast dosypywać piędzdy bankom i deweloperom, postawić na publiczne budownictwo. Żeby jednak to mogło się wydarzyć, trzeba oddać głos w wyborach.

Argument IV. „I tak wygra ci, którzy mają wygrać, a wybory będą sfałszowane”

Czy da się sfałszować wybory? Wszystko się da! Ale prawdopodobieństwo, że któraś ze stron politycznego sporu dokona faktycznego fałszerstwa na skalę, która pozwoli na przechylenie szali zwycięstwa, jest naprawdę nikiel, wbrew temu, czym straszą media. Głosujemy w obwodowych komisjach wyborczych a nasze głosy ręcznie zliczają komisje wyborcze wyłonione spośród osób zgłoszonych przez komitety – ludzi takich jak my, naszych sąsiadów, nie aparat-

czyków partyjnych przysłanych z Warszawy. I nawet jeśli nie są oni ideowcami, tylko pragmatykami, którzy przyszli zarobić kilkaset złotych przez weekend, to nie będą ryzykować zarzutów karnych, tylko wykonają swoje zadanie. Mówią o fałszowaniu wyborów, tak naprawdę lekceważymy ich pracę.

Czy to znaczy, że skoro w zasadzie nie da się sfałszować wyborów, to nie trzeba pilnować ich przebiegu? W żadnym razie!

Władzy zawsze należy patrzeć na ręce. Pamiętajmy jednak, że rząd nie musi fałszować wyników, by zapewnić sobie wysokie poparcie w wyborach. Każda władza ma przewagę medialną, władza PiS-u w szczególności, i nie ma żadnych oporów przed korzystaniem z niej. Tym bardziej idźmy na tegoroczne wybory, zgłośmy się do komisji lub na społecznych obserwatorów czy mężów zaufania. I wrzucmy naszą kartę wyborczą do urny, bo ten głos się liczy.

Możemy krytykować polski system wyborczy, bo jest daleki od ideału i premiuje tych, którzy dysponują kapitałem, a także rozumieją zawiloci ordynacji. Możemy krytykować partie, które często nie reprezentują w pełni naszych interesów. Możemy, a nawet powinniśmy być nieufni wobec polityków i pamiętać o rozliczaniu ich po wyborach z obietnic składanych podczas kampanii. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach warto jesienią wybrać mądrze. A ten wybór zaczyna się od wybrania się na wybory. ♦

Równość
nr 2/2023

Wydawca
Stowarzyszenie im. Tadeusza Regera
KRS 0000333135
stowarzyszenie.regera@gmail.com
www.rownosc.eu

Adres wydawcy:
ul. Mieszka I 4/5, 43-300 Bielsko-Biała
redakcja@rownosc.eu

nakład 2000 egzemplarzy
drukarnia: JW PROJEKT Jacek Wiśniewski

Materiał sfinansowany
przez Nową Lewicę

LEWICA

Redakcja Równość

Redaktorka naczelna
Katarzyna Gasparska

Sekretarz redakcji
Paweł Miech

Zespół redakcyjny
Adam Konieczny
Agnieszka Lamek-Kochanowska
Mateusz Merta
Barbara Słania
Maciej Szlinder

Autorzy/ki
Maciej Chrapkiewicz
Filip Górski
Leszek Karlik
Bartosz Klimas
Kacper Korgul
Magdalena Madzia
Piotr Uciński
Adrianna Zipper

Korekta
Agnieszka Pietrzak
Michał Pytlik

Projekt graficzny
Mira Larysz

Grafika na okładce
Alicja Beryt

Opracowanie graficzne i skład
Jarosław Hess

Współpraca
Dariusz Lamek-Kochanowski

Kontakt
redakcja@rownosc.eu

Więcej tekstów znajdziesz na:
www.rownosc.eu

Przeczytane? Podaj dalej!

**Podziel się swoim egzemplarzem z sąsiadką,
dobrym kumplem, koleżanką z pracy, szefową,
nauczycielem, sprzedawcą w Twoim sklepie. Pożycz
mamie, bratu, tacie, siostrze i w końcu daj nieznajomej
osobie na ulicy. Niech ta treść dotrze do jak największej
liczby osób!**